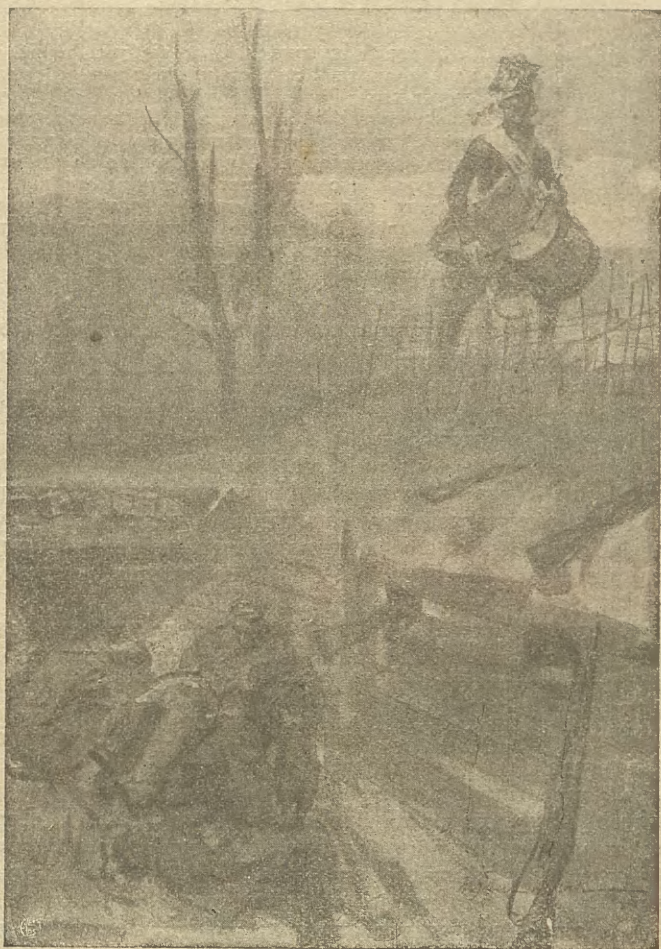


ROK I. Warszawa, d. 20 lipca 1918 r. ZESZYT 20—21.



WIARUS

PISMO DLA ŻOŁNIERZY POLSKICH
WYDAWANE PRZEZ KOMISYĘ WOJSKOWĄ.



Karpacka brygada.

„Trzeba wytrwać. O to się nie bójcie. My nasz obowiązek żołnierski spełnimy do ostatniej kropli krwi, do ostatniego żołnierza. My honoru Polski bronić będziemy; a jeżeli nam naród powie: „trzeba, byście wszyscy co do jednego zginęli“, to zginie my. My wiemy, że na ten sztandar polskiej chwały naród sto lat czekał i my się tego znaku okażemy godni w najcięższych warunkach. O to niema obawy, my wytrwamy“.

(Słowa rotm. Zb. Wąsowicza. L. H. M. „Ostatnia rozmowa z rotm. Wąsowiczem“.

Bieg wypadków zamknął już dzieje Karpackiej brygady; epilog ich tylko rozgrywa się w tem samym mieście, które było widownią pierwszych powodzeń jej oręża. „W czasie pobytu rosyjan — pisano z Marmarosz Sziget do „Budapesti Hirlap“ — miasto wyglądało jak wymarłe. Naraz usłyszeliśmy huk wystrzałów, a po chwili rosyjanie w popłochu poczęli umykać. Nagle spostrzegliśmy polskich strzelców, przebiegających miasto w pościgu za wrogiem. Usłyszeliśmy słowa wspaniałego polskiego hymnu. Zrozumieliście, z jakim uczuciem otworzyliśmy bramy domów na odgłos tej pieśni“.

Brygada służyła Ojczyźnie krwią serc swoich i zniosła tyle, jak mało który z oddziałów legionowych. Należy zatem przypomnieć jej dzieje, bo wobec niej zaciągnięto dług.

Karpacka brygada odznaczała się wśród formacji legionowych fizioognomią niezwykle swoistą.

Różnice fizioognomii poszczególnych oddziałów wojskowych nie były żadną specjalną cechą historii Legionów; znamy je już od początków historii porozbiorowej. Różniły się już od siebie wybitnie: Legia włoska Dąbrowskiego i Legia naddunajska Kniaziewicza. Na pierwszej z nich ujawnił się wpływ duchowy twórcy legionów, zdążający do zaprowadzenia karności i posłuchu w imię decydującego hasła: wytrwania. Druga gromadziła w sobie więcej pierwiastków ideowo żywszych, silniej związanych z krajem, ale zarazem i mniej karnych, bardziej sejmikujących, łatwiej upadających pod ciosami politycznymi. Widzimy później różnice oddziałowe i w wojsku Księstwa Warszawskiego, w armii powstania listopadowego zwłaszcza. Istnieją one zresztą w każdym wojsku, nie objętem przez

zbyt silne spójnie organizacyjne, pozostającym pod dużym wpływem czynników moralnych. Bywają one czasami źródłem tarć, ale znacznie częściej — szlachetnego współzawodnictwa.

Karpacka brygada w swem zaraniu formacyjnem była wierniejszem, bardziej realnem odbiciem Polski, niż oddziały, które przed nią wyruszyły w pole. Kompanie ochotnicze późniejszej Pierwszej brygady objęły najgorętsze, najbardziej lotne i uświadomione składniki narodu, które w podobnych wypadkach wysuwają się zawsze na czoło. Skupiła się w nich siła motoryczna Polski, pchająca do rozstrzygnięć śmiałych, dążąca do wyników natychmiastowych. Była ona źródłem ich bohaterstwa, ale zarazem — zbytnej wrażliwości i nietrwałości.

I do Karpackiej brygady pogarnął się znaczny, bardzo znaczny zastęp pierwiastków tego rodzaju. Ale obok nich stanęły tutaj do szeregów żywioly trochę mniej lotne, decydujące się wolniej, wymagające dla swego czynu powszechniejszego uznania go przez naród, ale za to i mniej wrażliwe, bardziej odporne na zawody polityczne, wytrwalsze jednym słowem. Było w niej stosunkowo najwięcej cennego wojskowo pierwiastku włościańskiego (górale z Nowotarszczyzny, wcieleni do Legionów drogą formalnego prawie poboru), który zdecydował o tem, że niektóre oddziały (3 pułk) zachowały po niezwykle ciężkich przejściach bojowych stosunkowo bardzo wysoki stan bojowy. Te oddziały chłopskie nie zdzierały się poprostu, wykazywały najmniejszy procent chorych i maruderów. Były tu kompanie śląskie, odznaczające się jakąś niepolską flegmą i wytrwałością; były oddziały sokole i drużyn bartoszewych, podszyte silnie pierwiastkiem ludowym, a zabartowane już w sprawie przejść politycznych przebytym kryzysem rozwiązania Legionu wschodniego. Byli ochotnicy z Królestwa (przeważnie ze sfer drobno-mieszczańskich i ludowych, zaciągniętych w czasie pobytu I brygady w Kielcach), były formacje huculskie, bukowińskie i t. d. Wśród oficerów znajdował się pokaźny zastęp ludzi, którzy mieli za sobą zawodową służbę w szeregach armii austriackiej. Ten skład Karpackiej brygady zdecydował o tem, że, już w swem zaraniu, miała ona charakter formacyi bardziej regularnej, spokojniejszej, wytrwalszej.

Rzucono ją na wstępie na teren działań, którego nikt nie przewidywał w czasie tworzenia Legionów: na Wę-

gry; później zaś, aż po połowę października 1915 r., utrzymano w walce na kresach dawnej Rzpltej, zmuszając do przystosowania się do typu kresowców, walczących zdala od ciepła kraju, ale i zdala od tych zmiennych prądów, które w nim nurtowały. Początkowa niedola Karpackiej brygady stała się więc mimowolnem źródłem jej siły i trwałości.

Walczyć wypadło jej w warunkach niezwykle ciężkich, których poprostu znieść nie mógł początkowo ochotnik Legionów. „Na całość akcji oczyszczania Marmaroskiego złożyły się żmudne obchodzenia górskich pozycji wroga, nieustanne ataki na nie i pościg za szybko cofającymi się oddziałami kozackimi“. „Żołnierze Legionów podczas kampanii ökörmeskiej, walcząc bez przerwy o głódzie i pozostając cały czas pod gołym niebem, upadali ze znużenia, ale każdy rozkaz do ataku na bagnety zastawał ich niezmordowanie ochotnymi i gotowymi do walk“. „Warunki, wśród których przyszło walczyć podczas ofensywy na Bukowinie i kampanii galicyjskiej, należą do najuciążliwszych: pochód przez Prislop odbyto bez pożywienia i kwater, wśród 20^o śnieżnej zawiei, gdy na pozycjach strażę często zamarzały, a każde rozpalenie ognia kończyło się kanonadą dział nieprzyjacielskich... Szlak bojowy, przemierzony w tym czasie (23. I—29. II 1915) wynosi około 480 km.; jest on też zasłany trupami, ale i pomnikami polskiej chwały. Kolosalne, niepomierne trudy, krwawe bitwy, trudność zaprowiantowania i uzupełnienia braków wtłaczają ten okres bitewny na najbardziej chlubne karty dziejów dotychczasowych walk II brygady“. „Grupa Hallera w czasie walk w dolinie Bystrzycy Nadwórniańskiej prowadzi siły wśród uciążliwych warunków: 25^o mrozów i nocy księżycowych“. (W. Zagórski). „Sześć miesięcy nieprzerwanej, ruchowej działalności bojowej w górskim terenie i do tego w zimie wyczerpały naszych żołnierzy niemało. Trafiały się kompanie, z których w końcu zaledwie kilku żołnierzy mogło pełnić służbę, gdyż resztę załogi trzeba było już wcześniej odesłać do etapów z powodu ran, choroby i ogólnego osłabienia. Ale i ci nawet nieliczni, którzy wytrwali do końca, gonili dosłownie resztkami sił. Zdarzały się wypadki, że z plutonu, obejmującego 10 ułanów, 6 lub 7 meldowało się nazajutrz po przyjeździe do Kołomyi u lekarza, a ten konstatował u każdego z nich 39 stopniową gorączkę. Póki walki trwały, dopóty siłą nerwów trzymał się jeden z drugim na sta-

nowisku; nadszedł dzień odpoczynku, to wówczas energia słabła i wnet choroba z nóg zwałała pozornie zdrowego". (St. Rostworowski).

A dotkliwiej może ponad te wszystkie trudy i znoje gnębiło i wyczerpywało oddalenie od Ojczyzny, niepewność przyszłości, która tak ciężko dawała się we znaki Karpackiej brygadzie.

Uległa ona pewnemu zdziesiątkowaniu, ale ci, co pozostali, byli już prawdziwą tężyzną, fizyczną i moralną. Oficerów przepełniało poczucie dokonanych rzeczy wielkich. „Z własnej winy nie utraciliśmy dotąd ani jednej powierzonej nam pozycji. Gdy przyszło się cofać, to jedynie na wyraźny rozkaz, a i wówczas stale szliśmy w tylnej straży, osłaniając odwrót innym oddziałom wojsk. Gdy przyszło iść naprzód, Druga brygada szła zawsze na czele. Spełniła ona dotychczas swe zadanie: biła się dzielnie". Wojna górska, przypominająca najżywiej małą wojnę, dająca Karpackiej brygadzie pole do działań stosunkowo bardzo samodzielnych, wyrobiła w oficerach poczucie własnej wartości, inicjatywę, samodzielność, rzutkość, wykształciła w zawodzie bardzo szybko i poważnie. Zmienili się także poważnie i żołnierze w stosunku do czasów swej formacji. „Dziwnym jest ten żołnierz; — pisał oficer I brygady naszej, przeniesiony do drugiej w maju r. 1915—doświadczenia zbierał w terenie górskim, wymagającym specjalnych właściwości fizycznych i moralnych. Stąd zalety żołnierza opierają się przede wszystkim na indywidualności i inicjatywie własnej. Płacąc za błędy swoją krwią, nauczył się lekceważyć niebezpieczeństwo. Jest ten żołnierz zupełnie innego uczuciowego napięcia, niż społeczeństwo... Uświadomił on sobie, że to on właśnie pisze nową kartę historii bagnetem. Taki psychiczny nastrój wytworzył ową błogosławioną lekkomyślność, owo lekceważenie niebezpieczeństw, ochotnicze wyrwanie się na patrole, masowe zgłaszanie na ochotnika do rozmaitych ryzykownych akcji... Jest w tym żołnierzu dziwne poczucie swej siły. Nigdy nie traci humoru, bez względu na to, czy jest to odwrót, czy marsz naprzód o głódzie i chłodzie, czy czas gorącej bitwy... Stosunek do oficerów jest oparty jedynie na poczuciu zaufania... A właśnie to zaufanie do swojego oficera, to bezgraniczne oddanie — jest najlepszym czynnikiem utrzymania posłuchu bojowego i karności". (M. Norwid-Neugebauer).

I nad tem wszystkim górowało niewyrozumowane,

ale instynktowne, żywiołowe już odczucie tego, że pierwszym obowiązkiem żołnierza polskiego w wojnie obecnej jest wytrwanie na stanowisku. „Trwajcie”—mówił 4. V. 1915 r. pułkownik Zieliński do swych karpaczyków, zamykając w tem jednym słowie cały program żołnierski, odczuty, przyswojony nawet w tych ciężkich chwilach, gdy Dowództwo Legionów odchodziło do Królestwa, a II brygada, zamiast iść za niem, jak się spodziewała, ruszała na Besarabię.

Tę swoją właściwość poniosła Karpacka brygada na Wołyń w październiku 1915 r., okazała w kryzysach ówczesnych, przyniosła do służby w Królestwie po akcji 5 listopada, zachowała w ciężkiem przesileniu przysięgowem, w trudnych dniach Przemyśla.

Ojczyzna nasza nie miała nad nią obrońców wierniejszych, pełniejszych zaparcia się siebie, choć nie otaczała jej ciepłem gorętszej sympatii, choć tak często każała cierpieć za winy nie swoje.

W. T.

Starym szlakiem.

*Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem ku wolności!
z dawną pieśnią—dawnym znakiem,
my — żołnierze sercem prości —
silni wiarą i nadzieją,
że tam kiedyś świty dniewą! —*

*Zawołały ku nam zdala
starych hasel złote dzwony...
zaszumiała kłosów fala —
wiatr z dalekiej powiał strony —
i na złotym grał nam rogu
pieśń o sławie i o wrogu! —*

*Zamarzyły się nam czyny
z pod Grochowa, Ostrołeki —
krwawych Ojców krwawe syny
zapraǵnęlim świeżej męki,
bowiem w grobach kości stare
zawołały: „Exoriare!”...*

*Starych Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w nowe zorze —
z dawną pieśnią — dawnym znakiem
po wyroki idziem boże
w przetomowej dziejów chwili,
którą w snach my wymodlili! —*

*Niech za nami nikt nie woła —
niech tam po nas nikt nie płacze!
Górą jasne niesiem czoła,
radość w piersiach nam kołacze,
duma ogniem lica płoni,
że idziemy jako... Oni! —*

*Starych Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w Jutra wschody!
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem
na śmiertelne idziem gody,
by z krwi naszej życie wzięta,
Ta, co jeszcze nie zginęła!*

Józef Mączka.

Tereny walk drugiej brygady.

Od października r. 1914 po październik 1915 r. walczyły oddziały, należące do drugiej brygady Legionów Polskich, z silniejszym liczebnie przeciwnikiem na terenach Węgier, Czarnohory i Bukowiny, czyli na pograniczu dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Po raz to pierwszy od czasów Sobieskiego, który po zwycięstwie wiedeńskim aż na Węgry się zapuścił w pogoni za uchodzącymi Turkami, wypadło żołnierzom polskim przedzierać się przez Karpaty, stanowiące naturalne rozgraniczenie ziem: polskiej i węgierskiej. Sobieski zresztą wracał do kraju drogami, położonemi znacznie bardziej na zachód, gdzie przez Beskidy Śląską; tutaj zaś, w Gorgonach i pasmie Czarnohorskiem, żołnierze polscy byli zjawiskiem jeszcze niebywałem.

Pasma Karpat, tak dobrze w ciągu długich wieków historyi odgraniczało dwa sąsiadujące ze sobą państwa:

Polskę i Węgry, że, z wyjątkiem odległych czasów piastowskich, kroniki nie notują żadnych wprost nieporozumień, ani tembardziej wojen między niemi. Zawiazki drugiej brygady, która w październiku 1914 wyruszyła na teren północno-wschodnich Węgier, od Krastfalu po Visovölgy, znalazły się na gruncie wprawdzie przyjaznym, ale najzupełniej dla siebie obcym. Początkowa akcja militarna, t. j. zdobycie Marmarosz-Sziget, obsadzenie z powotem linii kolejowej i drogi kołowej, wiodącej przez Körösmező do Galicyi, zakończona została w ciągu tygodnia. W pierwszej połowie października t. r. walczą już Legiony na terenie galicyjskim i przestrzeń ta — od Stanisławowa mniej więcej, aż po wschodni kraniec Bukowiny — miała odąd stanowić główny teren walk drugiej brygady. Na tym to obszarze — od Rafajłowej i Nadwórnej, aż po Rarańczę i Rokitnę — miała w całej pełni zajaśnieć ich odwaga i wytrzymałość żołnierska.

Jedyne przejście z Galicyi na Węgry prowadziło przez dziką przełęcz górska, Pantyr. Wśród niedostępnych zwalów kamieni przedzierały się wtedy młode pułki na północ — do Polski. Ta część Karpat nosi miano Gorgonów. Nazwa ta pochodzi od głazów olbrzymiej wielkości, które zalegają ich szczyty, a nierzadko i stoki. Rosną tu dziewicze niemal lasy, pełne wykrotów i powalonych przez wichry próchniejących drzew, — wyżej zaś panoszy się niezwykle gęsta i wysoka kosodrzewina, przerywana miejscami przez zesypiska głazów. Pokazują się tu i limby, i to w ilości o wiele większej, niż w Tatrach.

Dalej na wschód, poza doliną Prutu, rozpoczyna się Czarnohora. Jest to najwyższe pasmo Beskidów Wschodnich, tworzące naturalną granicę między Polską a Węgrami, aż do źródeł obu Czeremoszów, czyli do granicy Bukowiny. Szczyty Czarnohory przedstawiają się jako trawiaste upłazy, płaskie i łagodnie nachylone, skutkiem czego wędrówka po nich nie jest ani niebezpieczną, ani nawet bardzo trudną. Wodospadów niewiele, najpiękniejsze tworzy Prut, niedaleko swych źródeł, w kotle pod Hawerlą, najwyższym szczytem całego pasma, sięgającym 2058 metrów nad poziom morza.

Góry te zamieszkuje odłam górali ruskich, odrębny od innych strojem, charakterem, wyglądem i zwyczajami. Wedle jednych są to potomkowie dawnych kumanów, według innych — rumunów, o czem ma świadczyć podobny strój, szczególnie kobiet, podobny sposób stawiania

chat, grodzenia płotów, oraz rumuńskie nazwy wsi i gór. Są to huculi, którzy nie znają zupełnie rolnictwa, a oddani są wyłącznie pasterstwu, oraz wyrębowi i spalwianiu drzewa.

Głównym ośrodkiem Huculszczyzny jest wieś Żabie. Jest to największa, pod względem rozległości i liczby mieszkańców, wieś galicyjska. Dopiero od paru dziesiątków lat zaczęli tu zaglądać turyści, badacze i uczeni, pragnący wyjaśnić zagadkę, jaką tworzyło dawniej wnętrze tych tajemniczych krain górskich. Poprzednio, w ciągu całych stuleci, świat góralski odcięty był niemal najzupełniej od jakichkolwiek wpływów postronnych. Jeden z pierwszych pisarzy polskich, którzy zaglądali w te strony, Wincenty Pol, w swoich „Obrazach z życia i natury“ taki daje piękny opis Czarnohory:

„Ze szczytu Howerli patrząc — nie widać nigdzie ani wsi, ani pól odkrytych: szczyty tylko połonin, rozchodzące się w różnych kierunkach, wznoszą się z powodzi jednostajnych czarnych lasów... Zwory i potoki giną dla oka i brak tu zupełny głosów natury. Ocieężałe i zdrętwiałe od nocnego szronu leżą drobne jaszczurki kędy rzucić okiem, a dopiero, gdy słońce przygrzeje, nabierają ruchu i życia... Niekiedy, w czasie południa, wzleci pojedynczy motylek pasowy, szeleszcząc ostro skrzydłami. Pojedyncze tylko orły wąż się wysoko w powietrzu i szybuja wielkimi kołami, a gdy który z nich zabije barana, przybywa zdaleka kruk samotny i czeka na swoją część, usiadłszy w pobliżu na głazie. Tylko po słupie białych dymów, który się gdzieś wznosi nad sklepieniem lasu, domyśleć się można ogniska owczarzy lub opryszków... Wszystko tu wspaniałe, wielkie — lecz dziwnie samotne i dzikie... I powtarzam: jest tu największa puszcza górską wśród Europy“.

Tak było mniej więcej przed pół wiekiem. Pol pisze, że nieraz tam słyszeć można było straszliwy ryk wółu, którego niedźwiedź przysiadł. Urok pierwotności pociągnął tu w tym samym czasie i innego poetę, Mieczysław Romanowski, który w pięknym wierszu p. t. „Na Czarnej Górze“ tak zwraca się do obłoków:

„Lotna dziatwo błękitów! witaj mi na szczyciel!
Oczy i myśli puszcza za tobą w przegony.
Gdzie spojrzę — wszystko moje — mój ten świat
zielony!

Tam — poznaję — migoce Dniestr, jak srebrna
wstęga...
Kędyż chaty człowieka? Gdzie sławne cmentarze?
Zniknęły roztopione w zielonym obszarze:
Ni chat, ni grobów sławy oko stąd nie sięga“.

Ostatnie dziesiątki lat przyniosły duże zmiany w wyglądzie zewnętrznym Czarnohory. Wyborne drogi bite pozwalają dotrzeć daleko wgłąb obszarów górskich. Rozwój cywilizacji ściera stopniowo mrok pierwotności z tajemniczej i niedostępnej pustyni górskiej.

Dalej ku północy, pomiędzy malowniczą huculską Czarnohorą, a żyznymi równinami Podola, leży kraina przejściowa, znana pod nazwą Pokucia. Ta najdalej na południowy wschód wysunięta ziemia dawnej Polski, przylegająca od wschodu do Bukowiny, a od północy ujęta w ramiona Dniestru, podlegała w ciągu wieków częstym napadom nieprzyjaciół: wołochów, Turków i Tatarów.

Okolice Pokucia — według powszechnej opinii badaczy ziem polskich — należą do najpiękniejszych w Polsce. Przejeżdżając środkiem Pokucia ku wschodowi, mamy po lewej ręce rozległy widok na urodzajne obszary łąnów i łąk naddniestrzańskich, na prawo zaś wznoszące się stopniowo pasma gór. Ten nawpół stepowy, nawpół górski krajobraz ogromnie ożywiają prześliczne doliny, przecięte spadającymi zewsząd potokami.

Stolicą tego kraiku, złożonego z kilku powiatów, jest miasto Kołomyja, zamieszkiwane przed wojną przez 25000 Polaków, 9000 Rusinów, 20000 Żydów i 1000 Niemców. Pomimo znacznej liczby ludności niema Kołomyja charakteru większego miasta, usuwa ją bowiem wciąż na drugi plan położony niezbyt daleko Stanisławów, duże środowisko zarówno władz administracyjnych, jak i ruchu handlowego. Kołomyja szczyti się pomnikiem poety Franciszka Karpińskiego, który urodził się w r. 1741 w pobliskim Hołoskowie, oraz muzeum pokuckiem, założonem na kilka lat przed wojną przez hr. Starzeńskiego, ze zbiorem wyrobów huculskich i pamiątek polskich z Pokucia.

O 2 klm. za miastem wznosi się pamiątkowy obelisk w miejscu, gdzie w roku 1485 gospodar wołoski, Stefan Wielki, składał hołd Kazimierzowi Jagiellończykowi, poczem król polski wysłał Stefanowi, już jako swemu wasalowi, 3000 jazdy pod dowództwem Jana Karnkowskiego w pomoc przeciwko Turkom. Jazda polska składała się z do-

brze uzbrojonego i wyćwiczonego żołnierza, oddała też wielkie usługi gospodarowi wołoskiemu, zmuszając wkrótce Turków do opuszczenia Wołoszczyzny.

Częste napady nieprzyjaciół wywoływały potrzebę stawiania na Pokuciu licznych zamków obronnych. Dziś, tak samo jak na Podolu, pełno tu starych, malowniczych ruin. Ale nie brak tej okolicy i innych, bardziej współczesnych osobliwości. O 16 klm. od Kołomyi leży Peczeniżyn z rafinerią nafty, dawniej będącą własnością zasłużonego obywatela i patrioty, pionera ruchu przemysłowego wśród kół inteligencji polskiej, Stanisława Szczepanowskiego. O 10 klm. dalej znajduje się Słoboda Run-gurska, w której przed kilkunastu laty istniała kopalnia nafty o 160 szybach, dziś będąca w zastoju. Niewątpliwie wewnątrz ziemi kryje tu jeszcze bogactwa, mogące z gruntu przeobrazić wygląd całego kraiku.

Po przebyciu Czeremosza, dopływu Prutu, znajdujemy się już na Bukowinie. Kraj to w pewnym tylko stopniu związany z przeszłością Rzeczypospolitej, gdyż w wiekach średnich należał do gospodarów wołoskich, a od r. 1514 do 1773 pozostawał pod władzą Turcyi, poczem włączony został ostatecznie do Austrii. Ale wpływy i oddziaływania polskie szły w tym kierunku już od dawna. Już w XIV stuleciu północna część Bukowiny nad Dniestrem, t. zw. ziemia Szypeńska, należała do Polski, a wyrazem jej władztwa był zbudowany przez Kazimierza Wielkiego zamek na Cecynie. Za pierwszych Jagiellonów gospodarowie mołdawscy, władający Bukowiną, uznawali się w zasadzie za hołdowników Polski, usiłowali jednak często zrzucić z siebie ciężar zależności. Powstawały stąd liczne wyprawy zbrojne, z których jedna, podjęta przez króla Jana Olbrachta w r. 1497, zakończyła się klęską Polaków w położonych nad Prutem, niedaleko od Czerniowiec, lasach Hliboki. Później znacznie, bo w r. 1685 po-bił tu Sobieski Turków pod Bojanem i zajął Suczawę.

Wpływy kulturalne polskie przedostawać się zaczęły na Bukowinę szerszą falą dopiero po zajęciu kraju tego przez Austryę. Najbardziej przyczynił się do tego ten fakt, iż Bukowina, jako kraik niewielki, przyłączona była pod względem administracyjnym przez czas dłuższy do Galicyi. Bukowina na obszarze 10441 klm. kw. ma—według spisu z r. 1910—800089 mieszkańców, w tej liczbie 305000 Rusinów, 273000 Rumunów, 102000 Żydów, 66000 Polaków, 62000 Niemców, 10000 Węgrów i 3000 Lipowa-

nów, czyli zrutenizowanych moskali, sekciarzy prawosławnych, którzy przybyli tu przed paru wiekami, uciekając z kraju ojczystego przed prześladowaniami religijnymi.

Stałe osadnictwo ludności polskiej na Bukowinie rozpoczęło się przy końcu XVIII w. Po pierwszym rozbiórze kraju, kiedy Austria zajęła Spiż i przyłączyła go do korony węgierskiej, kilkaset polskich rodzin góralskich, niezadowolonych z nowych warunków życia, przeniosło się na Bukowinę i zamieszkało w Hliboce, Tereblestiach, Starej Hucie i Kaliczance, a gdy z czasem stało się tam im za ciasno, dokupiono na parcelacjach grunty w kilku innych miejscowościach.

Obok tego ludu polskiego, zamieszkującego kilkanaście wsi, rozrzuconych po kraju, posiada Bukowina i ziemiaństwo polskie, w ogólnej liczbie kilkudziesięciu dworów. Są to przeważnie ormiańskie niegdyś rody Abrahadowiczów, Agopsowiczów, Bohdanowiczów i t. p., obdarzone jeszcze przez Rzeczpospolitą indygenatem szlacheckim i zespolone serdeczną, żywą krwią z kulturą polską. Po miastach i miasteczkach żywił polski przeważnie reprezentują rodziny urzędnicze; jest również sporo kupców i rzemieślników polskich. W ostatnich latach przed wojną, głównie z inicjatywy miejscowych kół Towarzystwa Szkoły Ludowej, pulsować wszędzie zaczęła żywa praca narodowa.

Długi pobyt drugiej brygady Legionów Polskich w tych stronach, ze świetnym epizodem sławnej szarży pod Rokitną, nawiązał podczas wojny obecnej nowy węzeł łączności między krajem tym a Polską.

E. Maliszewski.

Artyleria drugiej brygady.

Bardzo skromne były początki artylerii Legionów Polskich. Pierwszy związek powstał pod koniec sierpnia 1914 r. w Borku Fałęckim pod Krakowem, skąd niebawem przeniósł się do Przegorzał. Tam, w świeżo opuszczonych koszarach artylerii austriackiej, gromadzili się dość liczni ochotnicy, pragnący się poświęcić artylerii. Zabrali się oni gorliwie do ćwiczeń w nowym zawodzie, choć praca była niezwykle utrudniona, nie było bowiem ani armat, ani dostatecznej ilości koni, gdyż tylko niewielu to-

warzyszów broni zgłosiło się do służby z własnymi końmi. Mimo to całe dnie wypełniały ćwiczenia t. zw. szkieletowe (z wyobrażeniem armat), jazda konna dla pewnej części i wykłady teoretyczne.

Dopiero mniej więcej na tydzień przed wymarszem w pole otrzymaliśmy 4 górskie armatki modelu z r. 1875, o kalibrze 7 cm. Rozpoczęły się ćwiczenia praktyczne, przeważnie pod kierunkiem ppor. Kosteckiego i piszącego te słowa, i dały niezwykle wyniki. Na co w innych warunkach potrzebaby było miesięcy czasu, tu tego dokonywało się w kilka dni, dzięki nadzwyczajnemu zapałowi i gorliwości braci żołnierskiej, złożonej przeważnie z inteligencji, która wszelkie wskazówki praktyczne i nauki wprost pochłaniała.

Dzięki staraniom i zabiegom por. Ottokara Brzeziny-Brzozy, otrzymaliśmy pod koniec września 1914 r. następnych 16 armatek górskich, amunicję, uprząż i trochę koni.

Nastąpiły nominacje, względnie awanse oficerów i podoficerów. Na rozkaz Dowództwa Legionów dotychczasową „kadrę” przegorzalską zorganizowano w 1 pułk artylerii Legionów Polskich, złożony z 5 baterii, każda o 4 działach i około 80 ludzi obsługi, z kapitanem Brzozą, jako dowódcą pułku.

Dnia 30 września opuściliśmy Przegorzały. Baterie 1, 2 i 3 wyruszyły z 2 i 3 pułkiem piechoty na Węgry 4 i 5 odkomenderowano do 1 pułku Józefa Piłsudskiego; który od 6 sierpnia 1914 r. operował w Królestwie Polskim. Odtąd te dwie grupy artylerii, jako dwa odrębne dywizyony, działały przez dłuższy czas zupełnie oddzielnie i w różnych warunkach.

Po pięciodniowej uciążliwej jeździe koleją przybyliśmy 5 października 1914 r. do Kiralyhaza, miasteczka położonego w malowniczej okolicy na południowym stoku Karpat, w północno-wschodnich Węgrzech. Znajdują się tam ruiny starożytnego zamku, w którym lubił przebywać Władysław Jagiellończyk, król Czech i Węgier, o czym węgry chętnie opowiadają. (Stąd nazwa miejscowości Kiralyhaza — królewski dwór).

Kilka dni postoju użyto na bardzo intensywną pracę organizacyjną i na musztrę artyleryjską, głównie w obsłudze dział. Tu otrzymaliśmy trochę więcej koni i niezbędną ilość wózków węgierskich, które nam zastępowały

przodki do armat i wozy amunicyjne, tudzież wozy taborowe, służące do przewozu żywności dla wojska i innego bagażu wojskowego.

Zabawnie wyglądała w pierwszym okresie rozwoju bateria artylerii legionowej, stworzona niejako po drodze na pole walki. Za wózkami chłopskimi, zaprzęgniętymi w czwórkę niewielkich koników, toczyła się przytroczone na powrozie mała armatka, której lufę tęgi chłop mógł wziąć pod pachę, ważyła bowiem 91 klg. Obok wózków, na których znajdowała się amunicja, szła w odpowiednim ordynku obsługa dział, złożona z 6 ludzi. Za 4 zaprzęgami z armatkami postępowały zwykle jeszcze 3—4 wózki taborowe i oto cała bateria. Dowodził nią zwykle podporucznik, mający do pomocy chorążego i odpowiednią ilość podoficerów, tudzież mały, z 3—4 wybranych ludzi złożony, oddział wywiadowczy. Podoficerowie i wywiadowcy mieli konie wierzchowe.

Nic dziwnego, że tego rodzaju artyleria stała się tematem do żartów i satyry. Niebawem w piechocie pojawiła się piosenka, której pierwsza zwrotka brzmiała:

„Jak cielę związana
Starym powrozem,
Skacze jak opętana
Z tyłu za wozem.
Co to za kawał grata?
To jest nasza armata,
Arma-ta-ta-ta“.

Po pięciu dniach ćwiczeń w Kiralyhaza urządziliśmy tamże d. 10 października pierwsze ostre strzelanie wobec komisji, złożonej z kapitana Zagórskiego, szefa sztabu Dowództwa Legionów, tudzież innych oficerów legionowych i austriackich. Był przy tem obecny szwadron kawalerii legionowej, który z nami wyruszył z Przegorzał, chodziło bowiem o oswojenie koni z hukami dział.

Pierwsza ta próba wypadła nadspodziewanie dobrze. Chłopcy strzelali, jak starzy żołnierze.

Już 12 października Dowództwo Legionów wydało rozkaz, że dwie baterie mają wyruszyć na plac boju. W tym rozkazie była moja nominacja na podporucznika i na dowódcę baterii 3-ej. Przed wymarszem dokonano nowej reorganizacji. Ponieważ ilość ludzi, a zwłaszcza koni, nie wystarczała na uformowanie trzech baterii, więc

ze wszystkich baterii wydzielono żołnierzy najmniej przygotowanych, dodano do nich około 40 legionistów z piechoty i z tego polecono mi przygotować i wyszkolić baterię trzecią, a lepiej wyszkoleni artylerzyści dotychczasowej baterii trzeciej wypełnili luki w baterii pierwszej i drugiej.

Dnia 13 października nastąpił wymarsz i zawagonowanie. Baterie 1 i 2 pojechały przez Marmarosz Sziget, dopiero co oswobodzone przez Legiony Polskie od moskiewskiego najazdu, w okolicę, gdzie jeszcze toczyły się walki na ziemi węgierskiej z oddziałami kozackimi, cofającymi się bezładnie przed naporem oddziałów legionowych i węgierskiego pospolitego ruszenia.

Obie baterie, w myśl pierwotnych zamierzeń i rozkazów, miały z Legionami maszerować doliną rzeki Taracku przełęczą Pantyrskiej, prowadzącej przez Karpaty z Węgier do Galicyi, przez Rafajłową, Zieloną w stronę Nadwórnej i Stanisławowa.

Tymczasem bateria pierwsza podczas przemarszu przez miejscowość Leordino ulega nowej reorganizacji i przemianie na baterię rzeczywiście górską, a nie posiadającą tylko armatki górskie. Otrzymała tu bowiem jużne konie górskie i odpowiednie siodelka do transportu armatek na grzbietach koni; przydzielono jej pozatem 36 żołnierzy austriackich do prowadzenia i obsługi tych koni. W tej nowej postaci wyruszyła dalej 24 października, ale już w innym kierunku, a mianowicie przez Körösmező, górę Jabłonicę ku Kołomyi, przydzielona taktycznie do grupy austriackiego generała Schreitera, który od strony Kołomyi miał rozpocząć ofensywę przeciw wojskom rosyjskim. Zanim jednak zdołano dotrzeć tam, nieprzyjaciel sam natarł przeważającymi siłami; zarządzone ogólny odwrót i bateria 1 przez Dylatyn, Mikuliczyn, Körösmező wróciła znowu na ziemię węgierską.

Po długich i uciążliwych marszach przybyła bateria znów do Galicyi pod Delatyn i zajęła pozycję na górze Świniarce, na wysokości 1200 m. Stąd oddała pierwsze strzały w dniu 6 listopada 1914 r. Pierwszy ten jej występ był bardzo pomyślny i skuteczny. Celne strzały rozproszyły pięć sotni kozaków, którzy stanowili osłonę prawego skrzydła rosyjskiego.

Z powodu jednak ogromnej przewagi nawały moskiewskiej zarządzone dalszy ogólny odwrót na tym terenie operacyjnym. Podczas tego odwrotu bateria przeszła

piekło całe. Zaprowiantowana była na dwa dni, tymczasem marsz odwrotowy trwał sześć dni wśród nadludzkich wprost trudów i niebezpieczeństw, o głodzie i chłdzie; marsz bowiem odbywał się wśród śniegów i mrozów, po bezdrożach grzbietów Karpat, po obu stronach których znajdowały się już wojska moskiewskie, nie można więc było nawet ognisk rozpalać. Wreszcie, w myśl rozkazu, dotarła bateria pierwsza do Rafajłowej d. 15 listopada, otrzymując tam choć tę nagrodę, że się połączyła z Legionami.

Baterią dowodził podp. Karol Nowak.

(c. d. n.).

K. Wojnar.

CUCYŁÓW

Dn. 26 października 1914 r.

(Z dziejów 2 szwadronu ułanów Legionów Polskich).

Cieniom rotmistrza Wąsowicza
i poległych towarzyszy broni
poświęcam.

Oстрыm klusem wjeżdżał szwadron do wsi. W szeregach zapanowała nagle jakaś dziwna cisza. Tem dziwniejsza, iż jeszcze przed chwilą rozmawiano z ożywieniem o potyczce, stoczonej przed jakimś dwiema godzinami pod Horocholiną przez straż przednią szwadronu z patrolami kozackimi, które—zabrawszy paru rannych ze sobą, w popłochu umknęły. Prawda, iż wsie, których już kilka dnia tego mineliśmy, jakoś inaczej się przedstawiały. Na ich krańcach spotykał szwadron grupy ludności, dziewcząt przeważnie, które przejeżdżającym ułanom chleb, masło, garczki z mlekiem i inne wiejskie przysmaki podawały. Ten i ów zgrabnie dar z konia chwycił, a „mołodyciom”—która ładniejsza—całusa przesyłał. Tymczasem tu, w Cucyłowie, jakaś martwa pustka, niesamowita jakaś cisza ku nam wionęła. Choć było to prawie południe—a więc chwila wzmożonego na wsiach ruchu — na drodze ani żywego ducha, w obejściach gospodarskich pusto, chaty szczelnie pozamykane, wieś jakby wymarła.

Na wojnie żołnierz staje się bardzo wrażliwy na wszelkie zewnętrzne objawy życia, to też ta nienaturalna

cisza zmroziła odrazu ożywione rozhowory i sprawiła, iż każdy, jakby w przeczuciu czegoś, co nieza długo się stanie, skupił się w sobie, zamienił się cały w słuch i wzrok...

Coraz więcej chat pozostawało za szwadronem. Ani jednej żywej istoty, psa nawet dojrzeć nie było można.

Na początku wsi chaty stały tylko po jednej (prawej) stronie drogi. Przejechawszy jednak parę staj, znalazł się szwadron na drodze, otoczonej chatami ze stron obydwu. Droga wązka, ogrodzona opłotkami; czwórki z trudnością pomieścić się mogą. Temu i owemu przemknęło przez myśl: „Czy tu się co nie święci?— Czy niema tu gdzie w pobliżu kozaczków?”—

Wtem, co to?! Z lewej strony drogi, poza chatami— najwyżej o 50—60 kroków od szwadronu—przemykają się jakieś dwie postacie na koniach.

Kozacy!?

Tak, to oni!

„Ognia. do psubratów!” ktoś zakrzyknął w szeregach. Buchnęła salwa jedna, druga. Chybieni. Domy i drzewa nie pozwoliły wziąć ich dobrze na cel. Przywarli do karków końskich, zginęli prawie za nimi i dalej, co koń wyskoczy, w pole; widocznie ku swoim. O kilkadziesiąt kroków od miejsca, skąd dojrzano kozaków, droga rozwidlała się: trakt główny szedł dalej przez wieś, wązka zaś, również ogrodzona płotem, drożyna — prowadziła na lewo, na wygon, na którym właśnie tylko, co pokazali się kozacy.

Na drożynę tę skręcił Wąsowicz, a za nim szwadron.

Tak, jak jechał czwórkami. Na sformowanie dwójek czasu już nie było. Ponieważ jednak zrobiło się za ciasno, nacisnęli skrzydłowi jeźdźcy końmi na opłotki. Trzasnęły cienkie żerdzie, zachybotwały się i runęły. Zaraz przybyło miejsca. Nie minęło i pacierza, szwadron już na wygonie. Wstrzymał konia Wąsowicz, stanęli i ułani. Patrzą, co się dzieje.

A tam przed nimi o parę tysięcy kroków kręcą się po polu jakieś kupki jezdnych. Kozacy naturalnie. Niby chcą nacierać, niby się cofają i kryją za pagórkami.

Poskoczył Wąsowicz przed front: parę słów komendy i stoi już szwadron, rozwinięty plutonami. Gotów do ataku. Szable w garściach.

Z oczów ułanów aż bucha ochota przejechać się po paskudnych kozackich mordach.

Spojrzał raz jeszcze Wąsowicz na swoich ułanów,

zmierzył okiem odległość od kozactwa, zatoczył szablą nad głową błyskawicę i...

„Za mną wiara, do ataku”!

A sam już o kilkadziesiąt kroków na przedzie.

Porwały się plutony za swym dowódcą.

Wtem ze wsi zaczynają padać salwy. Kule nie trafiają jeszcze nikogo, ale idą gęsto, coraz gęściej. A z tamtych niesfornych oddziałów za wsią, na które właśnie szwadron się porwał, zaczynają formować się wcale sforne sotnie.

Dobrze pomyślane.

Ponieważ szwadron przez skręcenie na wygon udaremnił urządzoną zasadzkę, w którą byłby wpadł, gdyby wprost drogą pojechał—dalsze chałupy były obsadzone przez kozactwo—stało się zadaniem jednych ściągnąć na siebie atak szwadronu, a tymczasem ci ze wsi mieli odciąć tyły.

Pospieszyli się jednak za bardzo ze strzałami. Nie uderzyły one nas z tyłu, ani skrzydła, lecz jeszcze wprost w twarz.

Zorientował się błyskawicznie w sytuacji Wąsowicz. Jedyny ratunek zając wieś, nie konno już jednak, lecz pieszo. Czy to się jednak uda? Czy tamci konni kozacy wpierw nie dopadną i spieszonych w otwartym polu na pikach nie rozniosą? A no, trzeba ryzykować: spróbować zagrozić im drogę jednym plutonem, a resztą wyprzeć wroga ze wsi.

Wstrzymał więc Wąsowicz konia, aż ten prawie chrapami w ziemię zarył i nadbiegającym plutonem rzucił słowa komendy:

„Pierwszy pluton do ataku!

„Drugi, trzeci, czwarty pluton z koni, do walki pieszej!”

Pierwszemu plutonowi kierunek szablą wskazał — pomknęli z kopyta; a sam przed pozostałymi konia osadził.

W plutonach jakby wahanie. Żał się ułanom zrobiło, iż nie konno uderzyć na wroga, lecz na piechotę bić się im przyjdzie. Jaki taki konia wysunął i, jakby nie słysząc rozkazu, chce przeć naprzód.

A tu ze wsi coraz gęstsze idą strzały. Każda chwila zwłoki szanse zmniejsza, aby śmiały zamiar zdobycia wsi przez garść naszych powiodł się. Tu działać należy z błyskawiczną szybkością.

Aż posiniał Wasowicz:

„Z koni, psia krew!”—zduszonym z wściekłości głosem krzyknął i sam już na ziemi i z pistoletem w garści ku wsi biegnie. To odrazu podziało. Jakby wichur zmiótł z siodła ułanów. W mgnieniu oka połączyli konie i sami ławą za dówódcą.

Ubiegli kilkadziesiąt kroków i, pomimo że pod gradem kul biegną, wszyscy cali. Widocznem jest, że tamci gorączkowo strzelają.

„Padnij!”—zabrzmiała komenda.

Przypadli do ziemi, ze swej strony parę salw do wsi oddali.

Zerwali się i znowu naprzód...

Niedaleko już są od chat: kilka staj dzieli ich tylko.

Widać pomiędzy drzewami i domami kozaków: długie burki, wysokie czapy—to kubańcy.

Walą wciąż do naszych, lecz źle mierzą psubraty—za nisko. Kule tylko wygon ryją przed nami. I coraz większe u nich zamieszanie. Część kozactwa zaczyna się wycofywać na piechotę, inni wyprowadzają konie ze stajen i starają się je dosiąść.

A nasi ułani wciąż posuwają się naprzód. Jaki taki na sekundę przystanie, odda parę strzałów i znów rwie naprzód.

„Hurra!”—dopadli wsi i w mgnieniu oka rozsypali się po niej.

Ale mało ich jest, 80 nawet nie będzie, licząc już razem z pierwszym plutonem, który, wykonawszy nakazaną szarżę, ostrzelany przez stojące dalej—pod stacją kolejową—armaty, straciwszy kilka koni, lecz—szczęśliwie—ani jednego jeźdźcę, zdążył również do wsi się dostać.

Mało jest naszych, lecz, jakby cudem, wszędzie ich pełno. Poprzypadali po paru za chałupami i ze swej strony prążą teraz wypędzonych ze wsi kozaków.

Ci ostatni chcą widać znowu szczęścia próbować.

Sformowali się za pagórką i pędzą do wsi. Noże w zębach, rozwiane burki.

Ciekawy widok, lecz nie mają czasu podziwiać go nasi.

Dopuścili kozaków na 30 kroków i „ognia” salwami.

Nie wytrzymali ognia kozacy. Zawracają.

Wyskoczył Wasowicz na środek drogi i pali z pistoletu w bezładną kupę. Dobrze strzela. Coraz to któryś kubańiec ręce rozłoży i łbem o ziemię stuknie.

Atak szczęśliwie odparty.

Zniknęli; schowali się za pagórek i poczynają kulami naszych zasypywać.

Lecz coś nowego od strony stacyi znów się szykuje. Zza jakiegoś wzniesienia gruntu wyjeżdża gromada konnych. Ilu ich być może?—Sotnia będzie.—Za chwilę druga, trzecia. — Widać ich, jak na dłoni. Niema 2000 kroków.

Ustawiły się sotnie w podwójnych rzędach, jedna za drugą i ruszają.

Jednocześnie nad głowami ułanów słychać świst, trzask... Nad chałupami wykwitają dymki...

Szrapnelami zaczynają do nas prażyć, a tymczasem tamci uderzą.

Spojrzeli po sobie ułani:

„Śmierć idzie“!

Nie ostoją się chyba. Siła złego na jednego.

Ale przynajmniej przed śmiercią jak najwięcej kozu- niów do piekła wyprowadzić!

Niewielu ułanów było w tym punkcie wsi, na który szykował się atak. Kilkunastu wszystkiego, ale sami wyborowi strzelcy.

„Celownik 1400. Ognia salwami!“—brzmi komenda.

I pada salwa jedna, druga, dziesiąta...

Poskutkowało.

U kozaków widać jakieś zamieszanie. Przestali się posuwać naprzód. Z równych tyralierskich linii tworzą się kupki. Dobry znak. Widocznie jeden z drugim nosem w ziemię zarył i towarzysze go ratują. Bić w kupy wygodniej, niż do rozrzuconych w tyralierkę jeźdźców. Idzie więc dalej ogień, ale już nie salwami, lecz pojedynczo strzelają nasi. Poopierali karabinki na opłotkach i biją, a biją dobrze, bo coraz jakiś koń z kupy się wyrwie—bez jeźdźca.

Za dużo widać tego kozakom. Nie lubią zbytnio ognia. Szarżować bezbronnych na ulicach Warszawy—to był dla nich raj. A wściekłość zapewne wykrzywiłaby im paskudne gęby mongolskie, gdyby wiedzieli, że dużo z tych kul, co ich zmiatają, ślą im ci, którzy nieraz zęby na ich widok w Warszawie zaciskali.

Zaniechali tedy ataku. Wzięli się do karabinów, a artylerya im sekunduje. Raz wraz trzaśnie szrapnel nad głowami ułanów ale jakoś bez szkody. Jeny liście

na drzewach szeleszcza, jakby gradem cięte — to kulki szrapnelowe.

Idzie strzelanina żywo. Ani kozacy, ani ułani nie chcą ustąpić. A i niebardzo mogą ułani. Bo i którądy?! Widać, iż są otoczeni ze wszystkich stron, bo zewsząd kule idą. Przerznąliby się może, ale koni brak! parę dziesiątków stoi ich po stajniach w ukryciu. Te tylko jednak powiodło się do wsi wprowadzić. Z pozostałymi, wobec szalonego ognia, nie dało się tego uczynić. Niewiadomo, gdzie się obecnie znajdują: może wpadły w ręce kozakom, a jeśli nie—to napewno są gdzieś daleko.

Trwają więc ułani i aż im dziwno, że żaden jeszcze nie zginął. Temu kula o brodę się otarła, tamtego po nodze drasnęła, ale to wszystko—jakby na żarty. To też i śmiech już ich porywa. „Jakto, tyle tego kozackiego paskudztwa ich otacza, mają do pomocy artylerję i nic do tej pory nie zdziałali! — Chyba nie wiedzą, że nas tak mało tutaj, ale toć przecie widzieli. A no, mają respekt psiajuchy. Czekaście kozunie! Usłyszą nasi, co dzisiaj pod Fitków i Nazawizów pociągnęli: podeślą tutaj z jeden batalionik naszych zuchów, a wtedy, to już dokumentnie skórę wam się przetrzepie“.

Żartuje tak sobie bractwo ułańskie, ale i o robocie nie zapomina. Tylko, że już ze spokojem ją odrabia. Na upatrzonego strzelają: gdzie tylko jaki kozak łeb wysunie, to o własnej sile już pewno go nie cofnie.

Czas mija piorunem. Wydaje się, iż niema i kwadransa, jak taniec się rozpoczął, a tymczasem to już i słońko powoli ku zachodowi się kłoni. Trzecią godzinę biją się już ułani...

Ale coś gorszego niż armaty i ataki kozactwa zagrażać zaczyna...

Długo coś muszą szukać w ładownicach palce... Ten dziesięć, tamten pięć wszystkiego namacał ładunków, a ów i ostatnią już łódkę z nabojami do magazynu wsunął. Amunicja się kończy.

Idą o tem meldunki do Wąsowicza. Zasepił się dowódca. To najgorsze, co być mogło. Gdy zabraknie ładunków, szablami się nie obronią. Rozniosą na pikach kozacy ułanów.

Namysł niedługi: przerzynać się trzeba.

„Zbiórka“—idzie komenda. Mała tylko część ułanów pozostaje na poprzednich stanowiskach i, bijąc znowu salwami, markuje obecność całego szwadronu. A szwadron

tymczasem sunie już drogą—w kierunku—skąd przyszedł. Ci, których konie były we wsi, prowadzą je za uzdy, reszta bez koni. Strzały padają dość rzadko: niewiele, kozaków, widocznie jest w tej stronie. Po niedługiej chwili dotarli ułani do krańca wsi. Tu ich dopędzają pozostali. Liczą się—są wszyscy. Koni tylko kilka ubili kozacy.

Niedaleko od wsi płynie rzeczka.

Teraz cała sztuka—dostać się za nią. Tam już chyba kozaków nie będzie—a jeśli są jakie patrole, to już im łatwo da się radę. Tylko szybko działać należy, zanim się wróg opamięta. Do rzeki z ćwierć mili, a prowadzi do niej droga, która napewno będzie ostrzeliwana. Ale ponieważ innej niema—więc niema i namysłu.

Ruszył pierwszy ułan cwałem z kopyta, za nim drugi, trzeci, czwarty...

Zaskoczyło to widać kozaków. Dali ujechać ułanom paręset kroków spokojnie. Wtedy dopiero zagwizdały kule. Pod trzecim coś ułanem zwinął się koń i padł, jak piorunem rażony. Jeździec przez łeb mu zleciał na ziemię i leży, ani drgnie.—Trup chyba?!

„Żegnaj towarzyszu“—myślą następni, lecz wstrzymać koni nie mogą, baczą tylko, aby nie drasnąć kopytem końskim leżącego ciała.

Tymczasem spieszeni rowami z boku drogi naprzód się posuwają. Mało ich widać: biegną pochyleni. Są dość bezpieczni, tylko że dłużej trwa przeprawa. Podnoszą po drodze leżącego ułana. Żyje! Nawet nie ranny. Upadek z zabitego konia ogłuszył go tylko na razie. Jeden, drugi łyk z manierki i już razem z innymi naprzód biegnie. Jeszcze chwila i są przy rzece. Zebranych tam 20 konnych czeka na swych towarzyszy: gotowi skoczyć każdej chwili im na pomoc. Lecz to już zbyt późno. Kozaków nigdzie nie widać i pojedyncze już tylko strzały z ich strony padają.

Przeszli ułani rzekę: jedni piechotą, brnąc po pachy w wodzie, drudzy—wygodniej—na koniach. Rozbiegły się zaraz patrole szukać reszty koni. Znalazły się one niedaleko, w krzakach ukryte. Najbliższa wieś dostarczyła wozów dla rannych i tych, którym konie zabito.

Październikowe słońce rzucało ostatnie swe promienie, gdy szwadron w szyku pochodowym ruszał z powrotem ku Sołotwinie. Z szeregów zabrzmiała w lot ułożona piosenka:

„Nasz Wąsowicz, chłop morowy,
Zbił Moskali w Cucyłowej.

Z pistoletu, w środku drogi,
Celnie prażył dzikie wrogi.

Przy nim jego szwadron drugi
Wrażej krwi przelewał strugi“.

.....

I sypały się niewyszukane strofki jedna za drugą..

*

*

*

Nazajutrz raportował porucznik Zbigniew Dunin-Wąsowicz w kwaterze Komendy Legionów, że—w spełnieniu otrzymanego rozkazu uczynienia dywersyi na tyłach nieprzyjaciela—udał się ze szwadronem w sile 82 szabel w nakazanym kierunku. Otoczony przez przeważające siły wroga, które w przybliżeniu określa na cztery sotnie kozaków i jedną baterię armat, stoczył z nimi we wsi Cucyłowie przeszło dwugodziną bitwę, poczem, wobec wyczerpania amunicyi, mając trzech ludzi lekko rannych i straciwszy w zabitych 11 koni, wycofał się z otaczającego go pierścienia. Straty zadane nieprzyjacielowi wydają się dość znaczne—

„O wczorajszej bitwie otrzymaliśmy już wiadomości.—rzekł szef sztabu—Mieliśmy już was za straconych. Niepodobna było podesłać na czas posiłki. Ale, mała poprawka: według dokładnych informacji, jakie posiadam, nie z czterema, lecz conajmniej z ośmioma sotniami kozaków mieliście do czynienia. Dzielnie szwadron się spisał. Dziękuję Panu, Panie Rotmistrzu“.

Przyjemnie było ułanom, gdy im Wąsowicz powyższe słowa szefa sztabu powtórzył. Wiedzieli o tem, że nie jest ten ostatni do pochwał skory. A najbardziej ucieszyło ich to, że kochany ich dowódca rotmistrem został.

„Wam swój awans zawdzięczam, koledzy—krótko do nich przemówił!—Wasza to dzielność mi go zdobyła“.

Jeszcze bardziej powiedzeniem tem przywiązał do siebie ułańskie serca....

Taki był początek historii drugiego szwadronu ułanów Legionów Polskich.

A ciąg jej dalszy?!

Ciąg dalszy, to służba Ojczyźnie w znoju i trudzie. O chłodzie i głodzie często!

Widziały ich i śnieżne szczyty Karpat, i srebrzyste wody Cisy, i bystre fale Czeremoszu. I lasy bukowińskie ich widziały, i brzegi Prutu, i błonia naddniestrzańskie. I besarabskie stepy i „Dzikie pola“.

Słońce i wichry spaliły im twarze. Zczernieli, wychudli, lecz duch silny w nich zawsze pozostał. Nie było imprezy, na którą nie byliby gotowi się porwać. Z ziemi węgierskiej do polskiej przedrzeć się raz zapragnęli, gdy tęsknota za Polską bardzo im w serca się wżarła.

I wielu z nich nie było sądzonem ujrzeć z powrotem tej ziemi, dla której chwały w bój z odwiecznym poszli wrogiem.

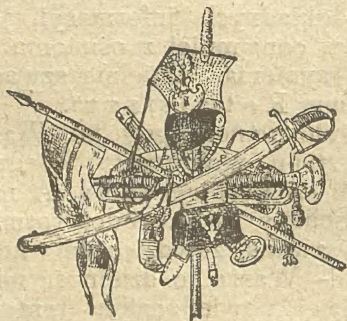
I nie było sądzonem ujrzeć tej ziemi temu, który ich zawsze do bojów prowadził.

Na polach Rokitny złożył głowę „mały rotmistrz”, prowadząc swój wierny zastęp, — tym razem na śmierć pewną. „Ad maximam Poloniae gloriam!”

Zasłali tam pokotem ziemię ułani drugiego szwadronu, tam, skąd już prawie dojrzeć można wieże Chocima.

Na szlaku Żółkiewskich i Sobieskich trzymają dzisiaj straż mogiły ułanów polskich — drugiego szwadronu...

J. Maleszewski Jagrym.



Bitwa nocna pod Rafajłową.

Było to 23 stycznia 1915 r. Cała załoga nasza składała się z I i III batalionów 3 p.p., oraz z IV/2 p.p. Razem było w tych batalionach 900 ludzi. Mielśmy oprócz tego 2 armaty—„kozy polskie”—i 4 działa górskie austriackie. Pułkownika Hallera nie było. Dowództwo nad całością sprawował mjr. Roja.

Nasz I batalion, w którym jako 1 kompania służył podhalanie, znajdował się na przodzie, tak, że kwatery nasze sąsiadowały z kompaniami 2 p.p., pełniącego służbę ubezpieczeń na froncie. Spaliśmy najspokojniej, gdy wtem, w godzinę mniej więcej po północy, adjutant pułkowy wpada do kwatery dowódcy z okrzykiem: „Kapitanie, atak nocny!” Piorunem ubiera się kpt. Minkiewicz, adjutant jego Fijałkowski i ordynansi. Wybiegają na drogę—ciemno, nic nie widać. Od strony mostu, odległego od kwater o 500 kroków, gdzie miało być pogotowie ubezpieczeń, słychać dzikie: „Hurra! Hurra!”

Potężny krzyk!

Położenie było następujące: placówka zagarnięta, pogotowie się cofnęło, batalion nasz śpi, III-ci naszego pułku kwateruje o 4 klm., dwie kompanie 2 p. p. o 2 klm. w tyle....

Gdy batalion zrywał się na nogi, kpt. Minkiewicz nasłuchiwał, gdzie są moskale. Wtem nadchodzi jakiś oddział, maszerujący od strony wroga. To kompania 2 p. p., będąca w odwodzie ubezpieczeń. „Stać! Zająć okopy! — rozkazuje kapitan—Ogień na most!” W pięć minut potem nasza 1-a kompania 3 p.p. była gotowa, 2-a również obok nas, połowa 3-ej też biegnie, reszta jej, z ppor. Szulem, już w okopach przed kwaterą dowództwa razem z żołnierzami 16 kompanii, pod dowództwem por. Węglowskiego. Ma tedy kpt. Minkiewicz 200 ludzi do obsadzenia stanowisk dwu batalionów, a krzyki „Hurra!” coraz się zbliżają. Postanawia szybko: „Pół 3-ej kompanii zająć górę w lewo! Ogień na most! 2-a kompania w tyralierkę nad brzegiem rzeki—w celu niedopuszczenia moskali nad brzeg. Ogień wzdłuż brzegu rzeki! Kompania 1-a z ppor. Sokołowskim w tyralierkę na prawo od drogi! Wysłać patrol na prawe skrzydło ku dolinie Dołżyńca”.

„Hurra! Hurra!”—krzyczą moskale tuż przed nami. Kasa pułkowa pospiesznie wyjeżdża. Dobrze, że choć ją

wyratowano. Przybiega adjutant Fijałkowski z meldunkiem: „Moskale już w naszej kwaterze!—Węglowski zabity.—Szul cofnął się i utrzymuje z trudem most“.

„2-gi pluton 1-ej kompanii naprzód! Połowa—bagnetami—wyrzucić moskali z kwatery, druga—do okopów na prawo!“

Poszli do ataku...

Wtem pędem na koniu wpada mjr. Roja.

„Kapitan gdzie?“—woła.—„Jestem. Ludzi mam mało. III batalionu niema!—odpowiada kpt. Minkiewicz—Potrzebny ogień artylerii na most i leśniczówkę,“—„Dobrze, dobrze, tylko trzymaj się, kapitanie!“—mówi na odjeździe Roja.

Nadchodzi pomoc: pół kompanii z III batalionu z porucznikami Zającem i Udałowskim.

„No, chłopcy, naprzód! Do pierwszych okopów! — rozkazuje kpt. Minkiewicz—Moi poszli na bagnety, pomóżcie im“.

Górale nasi poszli z potężnym okrzykiem: „Hurra!“

Moskiewskie okrzyki słabną... Z prawego skrzydła nasi zaczynają ogień salwowy, z góry również... Położenie polepsza się, mimo że moskale zaczynają nas zasypywać szrapnelami. Nasze armatki milczą jeszcze.

Zaczynają przeciągać nasi ranni, a z nimi jeńcy, którzy zeznają, że dwa bataliony idą na nas z frontu, dwie kompanie mają nas zaatakować od prawej doliny, a dwie—od lewej. Nowa bieda. Trzeba więc ubezpieczyć się od skrzydeł. W tej samej chwili nadchodzi 120 ludzi III batalionu. Otrzymują rozkaz zająć górę na lewym skrzydle i stamtąd ostrzeliwać domy, oraz pilnować lewej doliny.

Jak nawałnica uderzyli górale na bagnety, a na czele ich plutonowy Staś Kowalski, królewski. Jak tygrys rzucał się wśród mrowia moskiewskiego, aż padł, pchnięty bagnetem w gardło. A górale prali: jak rozkaz, to rozkaz. Widzi oto góral kolegę swego w opresyi: czterech moskali go obokoczyło; splunął w garść, pchnął jednego w łeb, splunął drugi raz, wziął karabin za lufę i jak machnie!.. A moskale już na klęczkach błagają: „pomiluj, sokoliku!“

Po krótkiej chwili kwatera wolna. Moskale częściowo cofnęli się, częściowo pochowali się w stajniach, piwnicach. Nasi poszli naprzód, zajęli okopy. No, teraz wszystko dobrze, myślimy sobie.

Nasza artyleria wciąż milczy, a moskale aż do mostu przyciągnęli swoje dwie armatki i biją w nas tego.

Kapitan posyła meldunek do majora ze wskazaniem ich stanowiska. Nareszcie może i nasze przemówią.

Nie czekaliśmy długo. Huk przepotężny wstrząsnął powietrzem, to zagrały haubice por. Waltera. Aż się nam płakać z radości zachciało. A że już świtać poczynąło, widzieliśmy, jak pociski trafiały w kupy stłoczonych moskali, którzy, przeraźliwie krzycząc, zaczęli rozbiegać się na wszystkie strony. Po jakimś czasie krzyki moskiewskie zaczęły ucichać: nieprzyjaciel czmychał.

Kapitan nasz wbiega do okopów, by powstrzymać niepotrzebną już gorączkową strzelaninę i woła: „Przestać strzelać!“, ale chłopcy, rozgrzani walką, komendy nie słyszą. Wtedy dowódca zwraca się do pierwszego z brzegu i mówi: „Miś, zaśpiewamy chórem“...

„Strzelcy podhalańscy zbierajcie się żywo“... —nucić zaczyna, por. Udałowski podchwytuje, a za chwilę—ogień nasz ucicha—cały okop śpiewa:

„Poczekaj moskalu, ty pogańska duszo,
Maszerują bracia-strzelcy na proch cię rozkruszą...“

Zaprzestaliśmy gwałtownego ognia, od czasu do czasu tylko biliśmy salwami. Rozwidniło się tymczasem zupełnie. Teraz nasze armatki biją, a ich już zamilkły. Dwa granaty padły w ich stanowiska, jeden nadwyrężył im działą, więc pospiesznie oba uprowadzili. Salwami spędziliśmy moskali, gdy chcieli nas atakować z lewego skrzydła i byli już na górze przeciwległej. A zatem, naprzód! Po drodze z chałup, z rzeki, z dziur wszelkich chłopcy wyciągają gromady całe żołnierzy przeciwnika. Idziemy naprzód, przechodzimy przednie nasze stanowiska i pędzimy wroga do Maksymca.

Wzięliśmy w dniu tym 130 jeńców, w tem 3 oficerów. Zabitych i rannych moskali było 300. Jeńcy klęli, że na rzeź wystawili ich oficerowie. Myśmy radowali się, że Rafajłowa pozostała w naszych rękach, a z nią przełącz karpacka, zwana „drogą Legionów“, przez którą w tydzień później poszła ofensywa austriacka do Dniestru. Myśmy przez trzy miesiące utrzymali to stanowisko, myśmy okupili i prawdziwie ochrztili naszą krwią tę drogę.

Legiony na Huculszczyźnie.

Żołnierz nie wie przeważnie dokąd maszeruje, dlatego też wyrabia się w nim pewien instynkt orientacyjny. Wystarczy mu chociażby kierunek marszu. Z chwilą, kiedy sobie zeń zda sprawę, rodzą się w jego umyśle i sercu, dyspozycyjne wprowadzie, ale naogół ciekawe, trafne przypuszczenia i orientacje. Kiedyśmy, po kilkakrotnym przechodzeniu Pantyrpasu i po uciążliwych pogotowiach i alarmach w Zielonej, opuszczali linię Königsfeld-Nadwórna, to czuliśmy, że, mijając „drogę Legionów” z białym na jej szczycie krzyżem i skręcając na lewo wzdłuż Karpat, pozostajemy przecież w Galicyi. Nadto, że, zostawiając dobrze obsadzone pozycje nad wąwozami, wybiegającymi ku siłom moskiewskim, możemy wykonać marsz oskrzydłający, lub w każdym razie niespodzianie zalać im sadła za skórę. Dlatego to, mimo mrozów, śniegów, grudy i gołoledzi, zrobiliśmy około 100 klm. w trzech dniach w najlepszym ducha nastroju.

Szliśmy od 26 listopada w śniegach przez ciemne gardziele górskie, przełęcz bezdrożne i lasy, oświetlone od czasu do czasu błódnym blaskiem księżyca, do Zabłotnicy i Tatarowa. Tu spalili kozacy tartak i wille letnicze; zaś w Worochcie, gdzie nam wypadło nocować, wille ocalały wprowadzie, ale zrabowane były doszczętnie. Ba! niektóre pozamieniano na stajnie, jak to z pozostałości zbyt wyraźnie było widać. Cały dzień 28 listopada wypełnił marsz z Worochty do Żabiego. Mimo zmęczenia duch w szeregach był dobry, kiedy kolumny nasze przewijały się serpentynami gościńca, obwiedzionego skałami Karpat. Od Howerli, Czarnohory i Popa Iwana powiał ku nam wiatr ożywczy i zdrowy, znany polskiej piersi z naszych Tatr.,

A tu, w miarę zbliżania się do Żabiego — tak bez końca ciągnącego się — roić się zaczęło od niedźwiedziowatych, a przecież sympatycznych i swojsko pięknych postaci huculów i huculek. Z ludem ruskim mieliśmy wprowadzie do czynienia i na Węgrzech i na linii Nadwórnej, ale uboższy, mniej malowniczy, bardziej skryty i często moskalofilski, dał nam nieraz odczuć swą ku nam wyraźną niechęć. Tymczasem tu, w Żabim — niejako w środku Huculszczyzny — zawiewał duch swobody, zaufania

i radości z naszego przybycia. Usługi, jakie oddawały nam wywiady huculskie, jak niemniej fakt, że zgłosiło się około 150 ochotników z tych stron, stwierdzają to najzupełniej. To też może nigdzie tak dobrze nam nie było, jak właśnie w Żabiem. Tu, mimo różnic kultury, obrządku, stroju i mowy, wyraźnie jednak dawało się odczuwać nasze prastare pokrewieństwo.

Zaś od malowniczych strojów huculskich, jak mało gdzie na Rusi, wprost oczu oderwać nie mogliśmy. Zdrowy ten, a piękny lud, znany nam dotychczas tylko z obrazów Jarockiego, Sichulskiego i Pautscha, spotykaliśmy, idąc dalej przez Krzyworównię, Jasieniec górny, Jaworów, Sokółówkę i Riczkę. Wierni nam huculi z własnej inicjatywy doniesienia o pozycji i sile wroga—z tamtej strony linii bojowej przynosili. Toż samo miało miejsce w czasie odwrotu, który wypadł szczęśliwie, kto wie, czy nie wskutek ostrzeżeń i „patroli“ huculskich.

Nasze ukazanie się w tem Soplicowie Huculszczyzny spowodowało wielkie zamieszanie w planach i ruchach mas rosyjskich—na całym froncie bojowym. Nam zaś dało nie tylko możność przeżycia pięknych chwil i poznania prawdziwej i niezdeprawowanej duszy huculskiej, ale nadto sposobność do drobnych, a przecież tak charakterystycznych swą brawurą epizodów bojowych, jak choćby ten, który prawdziwie w naszym tonie zakończył tę wyprawę.

Kiedy zdecydowano, iż Legiony mają się udać na inny teren operacyjny, cały II batalion 2 pułku, prowadzony przez kap. de Lorschea, a mający pozycje na Kosmaczu, był chwilowo nawet uważany za stracony ze względu na osaczenie przez moskali. Tymczasem de Lorsch szczęśliwym marszem, wykonanym w bardzo niebezpiecznych warunkach, uniknął zamknięcia przez oskrzydlenie ze strony sił kilkakrotnie przeważających. Ale w Riczce, w znacznej od siebie odległości, pozostały wysunięte od kilku dni placówki pod dowództwem plutonowych Leona Morysia (5 komp.) i Flawiana Smietkowskiego (8 komp.). Kiedy do nich doszedł rozkaz odwrotu — już nie mogli wrócić i byli też w swych kompaniach odżałowani. Uratowała ich własna inicjatywa, odwaga i — huculi. Smietkowski rozłożył swych 8 ludzi na opuszczonych przez batalion pozycjach i począł nagle prażyć salwami przechodzący spokojnie w kolumnach batalion rosyjski. Kolumny zakotłowały się w popłochu i zamieszaniu. Po długiej dopiero chwili opanowali oficerowie swych żołnier-

rzy i rozpoczęli ostrzeliwać masą ognia nasze pozycje, które—rzecz prosta—już patrol nasz opuścił, patrząc z boku z zaciekawieniem, jakie spustoszenia robią kule w próżnych okopach. Nasi chłopcy byli w wyśmienitych humorach i nie chcieli wprost ustępować. Kiedy nakoniec—po blisko półdniowej pukaninie całego batalionu do próżnych okopów—moskale rozwinęli wielką linię i poprowadzili ją na górę z bagnetem w rękę, wtedy i Moryś, z innej strony salwami pomógł moskałom do kompletnej dezorientacji, a potem odmiennymi drogami — wpoprzek przez góry—pomaszerowali na Worochtę. Smietkowski, widząc, iż ludzie padają ze znużenia i kilkudniowego czuwania, zaryzykował nocleg w Żabiem, już przez moskiewskie patrole zajętem. Podchodzi do karczmy, a prowadzący go hucul wskazuje mu świetne miejsce, z którego mógłby, kwaterujących w niej, około 50 piechurów moskiewskich wystrzelać jak kaczki. Ba! nie czas było na to! Chcieć nocować w Żabiem, już zajętem częściowo i rozpocząć przedtem pukaninę z 8 ludźmi, to byłaby zguba! Plutonowy chce zająć kwaterę, puka więc ostrożnie do chałupy. Na to wyskakuje hucul i zaklina o ciszę. Właśnie w tym domu śpią moskale, lecz o kilka chałup dalej obiecał patrol przenocować. Ludzie, rozdzieleni na wszelki wypadek na dwie partye, spali zmęczeni snem kamiennym. Całą noc zaś czuwał na warcie plutonowy i wierny hucul, który go prowadził. Rankiem niepostrzeżony wymknął się nasz dzielny patrol do pustej Worochty, a dowiedziawszy się, gdzie się siły nasze udały, skierował się kolejną na Huszt, a stąd pomaszerował na nowe pozycje pod Ökörmezö.

J. A. Teslar.

Drugi pułk w walkach nad Styrem.

Czerwiec — lipiec 1916 r.

W momencie wybuchu ofensywy pod Łuckiem druga brygada znajdowała się w Karasinie na odpoczynku. Niespełna dwa miesiące trwał ten, tak dawno oczekiwany i tak konieczny — po nieprzerwanej służbie frontowej od maja 1915 r. do kwietnia 1916 r. — odpoczynek. Miał on trwać czas dłuższy, ale nie było sądzone drugiej bryga-

dzie wypocząć. W mających się niebawem rozegrać walkach przypadło karpaczykom spełniać najniewdzięczniejsze, a jednocześnie najcięższe i wymagające od żołnierza największego hartu i wytrzymałości fizycznej, zadanie taktycznego odwodu jednego, a jak się wkrótce okazało, dwu korpusów.

Przecięcie kolei Kowel-Sarny ze Styrem stanowiło granicę korpusów Hauera i Fata, zajmujących na północ i południe wzdłuż Styru 40 klm. odcinki frontu. W różnych, niemal krańcowych ich punktach, walczyła druga brygada. Poszczególne baony — nawet kompanie — rozproszone wzdłuż tego odcinka frontu, zjawiały się, gdzie było najciężej, a po kilkudniowym zatrzymaniu się, gdy zagrażające niebezpieczeństwo — wskutek odparcia ataku lub przesunięcia się sił nieprzyjacielskich — mijało, były rzucane gdzieindziej, gdzie nowe wyrastało niebezpieczeństwo. Na wiele niezwykłych wysiłków — w uciążliwych marszach — zdobyć się, wiele opanowania nerwów i zimnej krwi posiadać musi żołnierz, znajdujący się w ciągłej wędrówce z zagrożonego na jeszcze bardziej zagrożone stanowiska. Ile samozaparcia, by nie zaznać — radości żołnierskiej w obronionych rowach strzeleckich. Pozostaje jeno дума, że jemu właśnie przypadło w udziale być żelaznem ogniwem, spajającym atakowane przez przeważające siły nieprzyjacielskie własne pozycje.

Mówiąc o działaniach drugiego pułku, ograniczam się do wspomnień osobistych i gawęd, prowadzonych wówczas z kolegami; stąd raczej wrażeniowy, a nie ścisły charakter opisu tego okresu.

Po wyruszeniu z Karasina drugi pułk, rozproszony oddziałami między Wólką Gałuzijską a Kołodyą, na stanowiskach 11-ej dywizji kawaleryjskiej, współdziałał w kilkudniowych walkach w odparciu ataków. Fala moskiewska cofnęła się. 11 dywizya, złożona z węgrows, z niezwykłą serdecznością witała tych, którzy ongi na ośnieżonych górskich przełęczach bronili dostępu do ich ojczyzny. Ale współżycie trwało krótko. Fala moskiewska odpłynęła, a więc i my niepotrzebni. Drugi pułk koncentruje się w Galuzji by rychło wymaszerować na prawe skrzydło korpusu Fata. II baon pozostaje w Maniewiczach — stacyi, I i III maszerują do Gruziatyna. Tutaj moskale wdarli się już do stanowisk austriackich. Bataliony mają kontratakami wyprzeć ich stamtąd. W czasie walki ranny zostaje pułk. Januszajtis — kpt. Łukowski obejmuje do-

wództwo. Przed naszym żołnierzem otwarta, bagnista przestrzeń. Pod kulami nieprzyjacielskimi wytrwale prze naprzód, choć grzęźnie po kolana. Padają oficerowie i żołnierze, zdradliwe bagno pochłania rannych. Tyralierka posuwa się jednak, jest już coraz bliżej nieprzyjaciela, a w czasie przebiegów okopywać się grunt nie pozwala. Żołnierz trwa na tem bagnistym polu śmierci. Jeden, drugi atak — rowy nieprzyjacielskie częściowo zajęte — żadnych posiłków.

A gdzieś na tyłach, bo przy punkcie opatrunkowym, pojawiają się moskale. Dr. Stefanowski styka się z nimi oko w oko — krzaki ratują jego niewygodnie wielką postać.

Ustala się wreszcie nowa linia, przez czas dłuższy zawieszona w próżni. Dwa bataliony otrzymują rozkaz odwrotu.

Na krótką chwilę następuje znowu koncentracja drugiego pułku w Gałuzi. Jako drugi baon nie braliśmy udziału w walkach. Z zazdrością i podziwem oglądaliśmy ogorzałych, strudzonych naszych kolegów. Przypominam sobie twarze młodzieńcze, pełne powagi i wewnętrznego spokoju, a zarazem jakiegoś promiennego spojrzenia. „Wielu najbliższych zginęło, ale walczyliśmy dzielnie” — zda się mówiły. Cała gama uczuć malowała się w ich wyrazie dopełnionego czynu.

W gałuzyjskim lasku krzyżowały się już opowiadania z żołnierskimi żartami, oporzadzano broń, krzątano się przy namiotach. Kuchnie, dawno nie oglądane, stały tuż. W tej krótkiej chwili rozkoszował się żołnierz odpoczynkiem, żył „domowem” życiem. Bo wszak po bagnach Gruziatyna i nieprzerwanej walce — lasek ten z całym rozgwarem bez troskliwości wydawał się najrozkoszniejszym domem rodzinnym.

Postój w Gałuzi trwał kilka zaledwie dni. Znowu kompaniami rozsypane zostają nasze szeregi na odcinku 11 dywizyi kawalerji. Węgrzy witają już im osobiście znanych żołnierzy. Jakiś rotmistrz ścisnął dłoń naszemu oficerowi i mówi: „No, teraz jesteście spokojni”. I baon, zaraz po zajęciu stanowiska, łowi 2 jeńców. Ten sam rotmistrz mówi: „Tylko się zjawili, a już jeńcy są”.

Służba trwa dzień i noc w ostrem pogotowiu, bo już grzmi ogień huraganowy pod Kołodyą, już stacza bohaterską walkę 5 pp.

W ostatniej niemal chwili przed rozstrzygnięciem

wielkiej bitwy wycofane zostają baony: I i II. Idziemy na południe między węgrów a 4 pp.; dowództwo korpusu dostarcza wozów na plecaki, gdyż zależy na czasie. By nas nie zauważyły balony na uwięzi, maszerujemy grupkami.

Nie zdążyły dwa baony wyjść na drogę, przebiegającą równolegle do stanowisk, gdy w najszybszym galopie wpada na kolumnę cofającą się bateria austriacka: „Kozacy tuż!” — krzyczy oficer baterii. Ustępujemy prędko z drogi, wozy nasze szybko zawracają. — Powstaje lekkie zamieszanie z plecakami, gdyż przez nierozwagę niektórzy żołnierze pozostawili część amunicji w plecakach, a część plecaków zostaje na wozach.

Rozwijamy się. Kozaków niema, ale i naszych nie widać. Nigdzie łączności — spotkany węgier mówi tak, że żołnierze węgry — legioniści nie rozumieją go. Zbłąkane kule ranią kilku żołnierzy.

Wreszcie dowiadujemy się, że od nas na lewo wpadają już kozacy do Gałuzi. Cofamy się na Perekrestyje, gdzie spotykamy 4 pp. Dowiadujemy się o ogólnym odwrocie. Ściemnia się już zupełnie — maszerujemy z 4 pp. w podwójnej kolumnie. W nocy jesteśmy w Maniewiczach — wsi. Strudzeni żołnierze — gdy siadają — usypiają. Czekamy tu czas pewien. Skupione w Maniewiczach tabory — opróżniają magazyny; niejednemu żołnierzowi dostaje się głowa cukru lub skrzynka marmolady. Przy drodze stoi beczka z piwem. Spragnieni są wszyscy, ale przy tak wielkiem zmęczeniu piwa pić nie wolno. Z żalem opuszczają żołnierze beczkę.

II baon ma osłaniać od północy drogę Maniewicze — Gorodek, I — od południa.

Maszerujemy w największej ciszy drogą do Karasina. Wokół luny, to palą się: Karasin, Maniewicze — stacya, Gałuzya. Na połowie drogi zatrzymuje nas placówka — to austriacy. Ale jaka radość nasza, gdy wśród austriaków znajdujemy kpt. Łukowskiego z garstką żołnierzy III baonu. Mieliśmy ich za straconych. Porwany falą odwrotową 11 dywizyi kawalerii, zdołał jednak kpt. Łukowski wyprowadzić część swego baonu, brnąc przez lasy i bagna. Garstka ta później wzrastała, gdyż niejednen żołnierz sam potrafił się wycofać i dotrzeć do swego oddziału.

Odwrót odbywa się dalej; 2 i 4 pułki zatrzymują nacierających kozaków, by możliwie najpóźniej przejść Stochód.

Można ze spokojem powiedzieć, że żołnierz 2 pułku wypełnił dobrze polecone mu trudne zadanie odwodu taktycznego aż dwóch korpusów. Czerwiec i lipiec 1916 r. to jednocześnie najpiękniejsza karta Legionów, gdy wspólny sztandar najgłębszej jedności wewnętrznej prowadził wszystkie oddziały do bohaterskich czynów, do krwawych zmaganiań, w których żołnierz zdobył sobie oficjalne zrównanie wartości z armiami niemiecką i austriacką, otrzymując najwyższe pochwały obu naczelnych dowództw armii.

A. M.

Piechur.

(piechocie 2 p. Legionów Polskich).

*Wielkie nazwiska i wielkie imiona
Utrwali pamięć w księgach i marmurze,
Lecz twoje imię w zapomnieniu skona,
Szary piechurze.*

*Ze ukochałeś żołnierską swobodę,
Ześ sławę swoją dźwigał w ran purpurze,
Lichą mogiłę zdobędziesz w nagrodę,
Szary piechurze.*

*Loty szalone, farysowe śniłeś,
Z uśmiechem idąc przez ogień i burze.
Gdzie walka wrzała—tam ty wszędzie byłeś,
Szary piechurze.*

*A nad grobami poległych wykwitną
Jak krew czerwone—dzikie polne róże,
Chabry je wstęgą owina błękitną,
Szary piechurze.*

*W kurhanach ścichnie twoja dola krwawa,
Krzyże się na nich rozsiądą, jak stróże,
I jeno w pieśni żyć będzie twa sława,
Szary piechurze.*

*Inne twe laury i inna twa sława,
Trwalsza nad zgłoski wryte w marmurze,
Bo Polska w czynach twoich smartwychwstała,
Szary piechurze!*

Rajmund Bergel.

Przegląd polskiego korpusu posiłkowego.

30 września 1917 r. pod Przemyślem.

Jedziemy powoli ku błoniom za wschodnią częścią miasta, na których ma odbyć się msza polowa i parada. Po obu stronach drogi spieszą ku temuż celowi tłumy publiczności. Stajemy wreszcie u celu: już widać szare masy naszych pułków. Rozstawiły się one w kształcie litery „U”, mając u swego otwartego szczytu ozdobiony godłami narodowymi ołtarz polowy.

Odrazu, z całą siłą pierwszego wrażenia, w oczy rzuca się to, że tak ich mało, tak bardzo mało. Przecież w okresie Baranowicz liczyły Legiony do 20000 ludzi, a teraz w Przemyślu i jego okolicach niema ich więcej ponad 9000. Gdyby cała Polska, ta Polska, która nieraz z lekkim sercem czyta w dziennikach wiadomości o przesileniu legionowem i o polityce, prowadzącej do rozkładu naszego wojska, była tu razem z nami i widziała, jak na żywym ciełe tego wojska odbiła się ta polityka, toby i z jej oczu wypadła ta łza, która nam do nich się ciśnie, toby z pewnością przemówiło i jej sumienie.

Przecież najkrwawsze bitwy legionowe, nad którymi tak rozpaczano u nas w kraju, nie poczyniły w nich ani małej części podobnych spustoszeń... I co się stało z tymi ludźmi! Przecież najdokładniejsze zestawienia — obejmujące — tych, którzy pozostali na okupacji niemieckiej i tych, co są w Szczypiornie, Benjaminowie, i tych wreszcie, którzy odeszli do c. i k. — armii, nie wyjaśnia nam tych spustoszeń. Byli widać — i to w znacznej liczbie — tacy, co skorzystali z przesilenia na swój sposób i odeszli, nie zachowując żadnych formalności. Kto wie, ile trudów i starań kosztowało nas stworzenie 4 i 6 pułku piechoty, baterii haubic i t. d., kto pamięta, jak to radośnie witano każdą z tych nowych formacji, ten odczuje dopiero, cośmy tu stracili, jak tu daleko nas cofnięto z jedynej drogi, na której oprzeć się może zbawienie Ojczyzny.

Stoi przed nami na tych błoniach przemyskich tylko Żelazna brygada karpacka, co to, jak wyraził się jeden z jej mówców: „ognia się nie boi, a rdza się jej nie ima”. Na prawem skrzydle uszykował podp. Żymierski swój 2-i pułk; lewe zajmuje major Zajac z 3-im, oraz kapitan Dziekanowski z resztkami 6-go i 4-go. Na przodzie, oparty

chwilami o łaskę, stoi brygadyer Haller. (2 pułk ułanów i artylerya przesłały tylko swe delegacye na uroczystość).

Muzyka 2 pułku piechoty gra hymn: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Rozlegają się słowa komendy: „Na ramię broń!“ „Prezentuj broń!“ Widzimy tutaj po raz pierwszy tę musztrę pruską, tak z wielu względów podobną do dawnej polskiej. Bardzo ładnie, zwinnie wyglądają zwłaszcza ruchy rąk, odbywane przy komendzie: „Na ramię broń!“ Żołnierz nasz wykonywa je podług regulaminu pruskiego, ale jakoś zgrabniej, lżej, bardziej elegancko. Odczuwa się tu skutki tej nauki frontowej, która dokonała się w naszych szeregach za czasów pobytu w Królestwie. Nigdy jeszcze nie widzieliśmy piechoty naszej tak doskonale, tak jednolicie wyćwiczonej. W. ks. Konstanty klepałby się z pewnością z zadowolenia po udzie, widząc ją na placu Saskim. A nie zaszkodzi jej to z pewnością, jako dodatek, jako uzupełnienie jej świetnych właściwości bojowych.

I znowu łza goryczy i oburzenia ciśnie się do oka na myśl, że tego żołnierza, tak wybornie wyćwiczonego, tak wyjątkowo nadającego się do roli kadrowej, mogliśmy mieć tak wiele, a mamy tak mało.

Przed frontem piechoty przechodzi pułkownik Zieliński, dawny kierownik pierwszych kroków Żelaznej brygady w ogniu, a dziś wódz całości, oceniający ją zawsze z tą cechującą go prostotą i szczerością. „Oficerowie innych armii — mawiał nieraz w Kozienicach — widząc naszych chłopców na etapie, sądząc ich z wyglądu, z zachowania się, mówią nieraz, że to nie jest wojsko. Ale ja wiem, że w najcięższem położeniu, gdy ja nie ruszę się z miejsca, to i z nich żaden nie ustąpi... Cofaliśmy się nieraz z powodu przełamania frontu z winy innych, ale nie uciekaliśmy nigdy. Mieliśmy zawsze mniejsze od innych straty, bo tam, gdzie szło kilkunastu naszych sprzymierzeńców, myśmy mogli wysłać tylko jednostki“. Nie zraziło go, nie osłabiło jego hartu nic, nawet te przejścia niewojenne, do których nie przywykła jego szczerza natura żołnierska. „Wiecie, że ja, czytając te głosy prasy galicyjskiej o nas, cieszę się z tego, tak, cieszę się. Bo z nich widać przynajmniej, że tutaj ludzie ciągle patrzą na nas, interesują się nami. Tutaj niema dzienników, na szpaltach których nie pojawiłby się ani razu wyraz „legiony“.

Do ołtarza przystępuje kapelan ks. Panaś, asystuje mu pierwszy kapelan strzelecki O. Kosma. Zaczyna się

msza, przerywana od czasu do czasu krótkimi słowy komendy. Od ołtarza rozlegają się następnie donośne słowa celebrującego, który odczytuje tekst Ewangelii św., a następnie przemawia do Żelaznej brygady. Słuchamy z napięciem, bo tego rodzaju wymowy kaznodziejskiej, łączącej w sobie słodycz i serce kościoła naszego z twardem i wyraźnem słowem żołnierskiem, nie słyszeliśmy nigdy ani my, ani dziadowie i pradziadowie nasi. Zapomniała już o niej dawno Polska cała. I teraz, gdy słyszy się te słowa twarde, przepełnione męskiem i gorąco polskiem przedewszystkiem odczuciem Ewangelii św., wydaje się, jakbyśmy odczytywali ze starej księgi teksty Birkowskiego. Zawód i jego odczucie podobne zbliżyły ludzi, oddzielonych od siebie przestrzenią wieków.

Pod koniec kazania nadjeżdża automobil i z niego wysiada dostojny pasterz ziemi przemyskiej, goszczącej u siebie legionistów. Ma on im udzielić błogosławieństwa przed bliskim odejściem na front. Po mszy, przybrany w szaty pontyfikalne, staje przed ołtarzem i przemawia do Karpackiej brygady. Mówi o obowiązkach żołnierza chrześcijańskiego... Ale i w ustach jego pełno wspomnień o żołnierzu polskim: o Jagielle pod Grundwaldem, o Janie III pod Wiedniem, o radości Litwy na widok wojsk narodowych w 1812 r. Padają wreszcie słowa komendy i szeregi chylą się na kolana, aby otrzymać błogosławieństwo z rąk swego pasterza.

Zaczyna się defilada. Prowadzi pułk 2-gi podpułkownik Żymierski i przedstawia go oczom swej starszyny oraz generalicyi c. i k. armii tak, że aż dusza rośnie na widok tego wyćwiczenia. Na komendę „W prawo patrz!” kompanie przechodzą tym t. zw. u nas dawniej „krokiem składanym”. Niektórzy dowódcy doprowadzili go do artyzmu, przypominającego za żywo wzór swych instruktorów z Królestwa; inni nadali mu jakiś więcej polski, więcej naturalny charakter. Ale — poza wyćwiczeniem, robiącym najwidoczniej wrażenie na przedstawicieli c. i k. armii — rzuca się w oczy przedewszystkiem wygląd chłopców. Jacy oni młodzi! Zaledwie od czasu do czasu wśród oficerów i żołnierzy spotka się jakąś twarz brodatą lub wąsatą; reszta — to młodzież tego samego typu zawadyacko-łobuzowskiego, jaki widywaliśmy w sierpniu r. 1914 przy wyruszaniu. Tak junackiego wyglądu pułków nie zobaczyłoby się gdzieindziej w Galicyi. Robi to znowu najwyraźniej wrażenie wśród generałów i ich świty. Na tych

chłopcach nie znać trudów wojennych; spłynęły one po nich, jak woda nieszczęsnego Prutu, jak śnieg stoków Karpat.

Staje z kolei muzyka 3-go pułku piechoty i gra jakiegoś jeszcze bardziej dziarskiego marsza. Major dr. Zając prowadzi „niezdarty“ swój pułk. Co ci ludzie przeszli, jak ich nieoszczędzano, o tem wie każdy, znający jako tako historię „Legionu“. A tymczasem oni zawsze dokazywali tego cudu, że ich stan prezencyjny, mimo strat, przedstawiał się najlepiej w Legionach. Miewali duże straty w ogniu, ale najmniejsze z chorób i „łazikostwa“. Sekret tego jest nader prosty: jest to pułk najbardziej włościański w naszym wojsku, pułk werbowany częściowo tak przymyślnie w Nowotarszczyźnie przez pp. Chramca i Wł. Tetmajera. Pamiętam ich dobrze, jak szli z Nowego Targu do Mszany Dolnej dla złożenia przysięgi. Szli w guńkach i kierpcach, szli — powiedzmy wyraźnie — nie bardzo ochoczo, śpiewając w wagonach bardzo przeciągłymi głosami swe niemelodyjne pieśni góralskie. Ale potem, pod Mołotkowem, wśród pękających nad nimi szrapneli, stali z flegmą i naturalnym spokojem chłopą naszego, jak mur. I teraz, częściowo przybrani w długie niemieckie kurtki, elastycznością swych ruchów zdradzają swe góralskie pochodzenie, które im dało tę „twardość“.

Już przeszli wszyscy. Żeby ich tak widziała Polska, żeby wystawiła swe serca i sumienia na próbę widoku żołnierza naszego i ran mu zadanych!...

W. Tokarz.

Jan Dudziński.

Znany pod pseudonimem Janowskiego, podporucznik 8 kompanii 3 pułku, poległ pod Eperies na Węgrzech, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Pochodził z Łagiewnik pod Krakowem. Urodził się w r. 1893, z zawodu był murarzem, wykształcenie wojskowe zaś odebrał w krakowskiej drużynie strzeleckiej (druga polska drużyna strzelecka). S. p. Janowski był swego rodzaju typem żołnierza polskiego. Odwaga nieustraszona, pogarda śmierci, a przytem wszystkim zimna krew i rozwaga cechowały go zawsze. Zwierzchnikiem był surowym i wymagającym, ale żołnierze wybacza mu to chętnie, albowiem mieli to poczucie, iż pod jego dowództwem wyjdą zawsze cało z najniebezpieczniejszych wypraw. Specjalnością Janowskiego była

służba wywiadowcza, gdzie też w całej pełni jaśniała jego niezłomna odwaga w połączeniu z wielką ostrożnością i doskonałym oryentowaniem się w sytuacji. W czasie bitwy pod Nazawizowem oddział z 20 ludzi pod jego dowództwem pełnił służbę wywiadowczą na tyłach armii nieprzyjacielskiej i to tak blisko, że słychać było doskonale głosy komendy rosyjskiej. Po bitwie pod Mołotkowem, gdzie 8 kompania 3 pułku — wskutek niedojścia meldunku — została sama jedna wśród nieprzyjaciół, dzięki Janowskiemu przeszła przez pobojuwisko pod osłoną nocy pomiędzy placówkami rosyjskimi. Również odznaczył się śmiałym prowadzeniem ataku na Pasieczną, gdzie z niewielką garstką zmusił do cofnięcia przeważające siły nieprzyjacielskie (wtedy też awansował z chorążego na podporucznika).

Niechaj te kilka słów wzmianki pośmiertnej — jednego z dawnych podkomendnych — przyczynią się do utrwalenia pamięci o Janowskim, który niezawodnie wsławiłby się jeszcze niejednym świetnym czynem. Niestety, kula wroga przedwcześnie przecięła pasmo dni jego młodego żywota.

Do tej wzmianki pośmiertnej — kilka słów jeszcze dołączyć należy. Słów nie od nas, ale od tego, w którego sercu skon. ś. p. Jana Dudzińskiego najczulsze zbudził echo. Są to słowa ojca jego, Andrzeja. Otrzymało je Dowództwo Legionów. Brzmiały one: „Szanowna Komendo! Proszę usilnie, ażeby mnie, Andrzeja Dudzińskiego, ojca Jana Dudzińskiego, oficera Legionów Polskich, który zginął za Ojczyznę, oraz drugiego syna Stanisława, który jest na polu walki w szeregach legionowych — wcielić do Legionu, do tej samej kompanii, co ja mój syn prowadził do szturmów. Mam lat 56, ale jestem jeszcze zdrow i chcę pomścić śmierć mojego syna na Rosyi“.

Jakież skarby zwycięskiej woli dane są narodowi, w którym ojcowie tak oplakują swych synów.

Wujcio Majewski.

Znana to postać lekarza, ściśle z drugą brygadą Legionów związana! Poznaliśmy go, gdy w Karpatach „kroczył“, nie ruszając się z siedzenia węgierskiej nejtyczanki. Jego jowialna, otyła postać, wesole, niefrasobliwe usposobienie, tryskający dowcipem humor, wreszcie barytonowy

głos, wybuchający raz po raz głośnie kaskadą śmiechu, sprawiły że w szarzyźnie obozowego życia stał się niebawem ze wszech miar miłym i pożądanym towarzyszem.

Nie był ci to wojak bitny, rozmiłowany w bojach, któryby z pogardą śmierci szukał guza; nie był to człowiek, którego pociągały przygody. Ruszył w pole z poczucia szlachetnego, dobrze rozumianego obowiązku obywatela, choć mu pięćdziesiątka i nadmierna tusza w swobodzie ruchów gruntownie zawadzały. Niebawem stał się przysłowiowym lekarzem w drugiej brygadzie: wyśmiewano go, pokpiwano z jego butów, ze ślepej kobyły,—ale nosiło to zawsze cechy więcej niż życzliwości, nie było w tem śladu złośliwych, lub zjadliwych przycinków. „Wujka“ kochali wszyscy!

Zwali go „Zagłobą“, choć do bohaterskich czynów nie miał najmniejszej pretensyi. Mimo to jednak w historii drugiej brygady — „Wujcio“—był jedną z jaśniejszych, bardziej świetlanych postaci.

Żołnierza kochał po ojcowsku, choć „marodów“ traktował napozór szorstko. Gdy już dobrym słowem nie mógł żołnierza przekonać, nie wahał się nawet huknąć: „a pódziesz że, ty psiajucho, widzisz go gagatka“—poczem kaskada śmiechu przekonywała „leguna“, że są to tylko czułe, na swój sposób wypowiedane, słowa.

Początkowo „wujcio“ Majewski był lekarzem pułkowym 3-go pułku. Czas jakiś przebył na tyłach, znów wrócił na front, a ostatnio na froncie bukowińskim był szefem sanitarnym drugiej brygady. Wreszcie długotrwała choroba oczna zmusiła go do pobytu w Krakowie, skąd zaglądał do ukochanych Niepołomic, z których pochodził.

Tam niedawno padł rażony apopleksją, zabierając do grobu wraz z dobrym humorem niewygasłą wiarę, że „jakoś to będzie, ale dobrze będzie“.

Towarzyszu, niech Ci ziemia polska, której ofiarnie służyłeś, lekka będzie!

Dr. E. Loth.

Czyny brawurowe żołnierzy II br.

W krwawych zapasach Legionów odznaczył się szereg żołnierzy II brygady wielką odwagą osobistą i brawurowymi czynami. Na wyliczenie wszystkich nie stało by miejsca, przypominamy więc w niektórych z nich.

Otrzymali medale:

Bolesław Dunin-Wąsowicz, wachmistrz 2 szwadronu kawaleryi, który w bitwie pod Cucyłowem dn. 26.X 1914, jako dowódca plutonu, osobistym męstwem przyświecał swemu plutonowi.

Stanisław hr. Rostworowski, zastępca plutonowego 2 szwadronu, który również pod Cucyłowem odznaczył się nieustraszonem męstwem i pogardą śmierci.

Witold hr. Kossakowski, kapral 2 szwadronu, który pod Cucyłowem, straciwszy konia w ataku na kozaków, walczył na piechotę z przemocą nieprzyjacielską i jako jeden z ostatnich zszedł z pola.

Karol Rzepka, szeregowiec 3 szwadronu, który 5.XI 1914 z wielką brawurą prowadził napad nocny, wioząc amunicję do linii tyralierskiej, obdzielając żołnierzy osobiście ładunkami wśród gęstego gradu kul.

Jan Dżugaj zastępca plutonowego w 1 komp. 3 p.p., który, jako dowódca patrolu wywiadowczego, mając za zadanie dotrzeć do miasta D., a to w celu sprawdzenia liczebności znajdujących się tam sił nieprzyjacielskich, wykonał swe zadanie znakomicie, a otoczony przez sotnię kozaków, przebił się i wyprowadził cały patrol bez szwanku.

Jan Figus, sekcyjny w 1 komp. 3 p.p., który dn. 26.X. 1914, jako dowódca patrolu, dotarł aż do samej linii nieprzyjacielskiej, którą wysledził; pomimo ciężkiego postrzału w rękę, wywiad dalej wykonał i wpierv zdał raport, nim udał się na punkt opatrunkowy.

Chorąży Bolesław Romaniszyn, również odznaczony medalem waleczności I klasy, spełnił czyn, zasługujący na podkreślenie. Z małym oddziałem, obszedłszy pozycje nieprzyjacielskie szerokiem kołem, zaszedł na tyły wojsk wroga, napadł na tabory, porozpędzał ich osłonę, wywołał panikę w szeregach nieprzyjacielskich, przerażonych niespodzianym atakiem, poczem, wycofawszy się cało, kołując górami i lasami, wrócił do swoich.

Kapral Stanisław Leś przez długi czas prowadził najniebezpieczniejsze, najryzykowniejsze patrole. Sprytem wywijał się z każdej opresyi, nieustraszenie przebiegał przez placówki wroga.

Kapral Józef Winiarski odznaczył się również jednym z tych czynów, do których spełnienia potrzeba i wielkiej dozy samodzielności i zimnej krwi. Zaniósł on rozkaz do grupy armii oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów

w bok, przemykając się cichaczem wśród ciągłego niebezpieczeństwa tuż przed frontem nieprzyjacielskim.

Sanitariusz Alojzy Stelmach otrzymał medal waleczności I klasy za brawurowy czyn. Znosił rannych i opatrywał wśród huku armatniego i salw karabinowych, gdy spostrzegł części karabinu maszynowego, porzuconego na polu walki przez walczące z nami wojska. Spełniwszy swe obowiązki sanitariusza, wrócił na poprzednie miejsce i, mimo mocnego ognia nieprzyjacielskiego, z całym spokojem zabrał się do karabinu maszynowego. Wziąwszy na plecy i pod ramiona, co się tylko dało — z najmniejszą krwią — przeszedł stoki góry, zasypywanej granatami i szrapnelami, i wrócił ze zdobyczą do swoich...

Atak II-go batalionu 3-go p. p. na wzgórze Berczanu (pod Optową na Wołyniu) dnia 4-go listopada 1915 r. postępował dzielnie naprzód. Piąta kompania, rozwinięta na lewem skrzydle batalionu, doszła na odległość 200-tu do 300-tu kroków od okopów rosyjskich, dalsze jednak posuwanie się groziło poważnymi stratami, gdyż z okopów nieprzyjacielskich zaczęły nagle grać, niezauważone dotychczas, karabiny maszynowe. Były one tak zamaskowane, że zwalczanie ich naszym ogniem stało się trudnem: nie znano pozycji tej strasznej broni. Wtedy szeregowiec 5-tej kompanii Warchałowski udał się na ochotnika na wywiad bojowy. Początkowo moskale nie ostrzeliwali go, zdumieni brawurą legionisty; skoro jednak opamiętali się, zasypali gradem kul dzielnego wywiadowcę. Przestrzelony przez pierś posuwał się dalej, z odległości 50-ciu kroków dokładnie zbadał pozycję nieprzyjacielskich karabinów maszynowych i, brocząc krwią, wyczerpany wrócił do swoich. Został odznaczony austriackim medalem I klasy.

W czasie walk II-ej brygady pod Kirlibabą, w styczniu 1915 r., patrol 3 szwadronu jazdy polskiej (2 pułku ułanów) pod dowództwem plut. Ziembyski ruszył tropić cofającego się wroga. Plutonowy wysłał konnych wywiadowców na oba boki wsi, ażeby, objechawszy z obu stron, wracali następnie galopem do patrolu, który się zatrzymał przed wsią. Był wśród nich patrolowy (kapral) Konopka. Ten objechał wieś i już uspokojony, że nie ma wroga, miał drogą, idącą środkiem wsi, wracać do swoich, gdy dostrzegł poprzez drzewa żołnierza rosyjskiego, który dobijał się do jednej z chałup. Pogalopował na niego Konopka, ale nim dopadł, moskał był już wewnątrz. Konop-

ka zeskoczył z konia i wpadł do chaty. W półmroku ujrzał wewnątrz kupę moskali. Zk arabinkiem, gotowym do strzału, wezwał ich do poddania się. Strwożeni, wyszli bez broni do sieni, gdzie zatrzymał ich aż do nadejścia patrolu, który odprowadził 28 jeńców, wziętych przez stanowczość i odwagę jednego samotnego żołnierza.

Sławą w bitwie pod Markową i Sołotwiną okrył się kapral Kuczwa, ślżak, który z jednym tylko towarzyszem, Barańskim wbród przeprawił się przez Bystrycę. Zasypany gradem kul, zanurzył się w zimnej wodzie, wśród łoziny szukając kryjówek. Zmyliwszy czujność moskali, dostał się na drugi brzeg, a stąd zrobił daleki wywiad, wypatrzywszy dokładnie pozycje nieprzyjacielskie.

Było to w czasie walk czerwcowych pod Rarańczą. Między okopami przeciwnika a naszymi stała chwilowo opuszczona armata rosyjska, której obsługę dnia tego legioniści do nogi wybili, biorąc do niewoli jej komendanta, kapitana. Armaty jednak nie zdołano zabrać. Zbliżenie się do niej ponowne, wskutek silnego ognia ze strony moskali, było niemożliwe. Wtedy to do dowódcy batalionu zgłosił się 18-letni Tadeusz Kurpiel z prośbą, by mu pozwolono pójść zabrać zamek z armaty. Ze względu na oczywiste niebezpieczeństwo, pozwolenia nie otrzymuje. Nie usiadł jednak długo. Raz powzięta myśl nie dawała mu spokoju. To też po południu wraz z Antkiem J. wychodzi z okopu, rzekomo, by szukać japońskich karabinów lub szabel kozackich. „Wtedy to—cytuję dosłownie ustęp z listu jego do ojca, pisanego w okopie przy akompaniamencie pocisków armatnich—proponuję towarzyszowi, abyśmy poszli pod armatę. Po krótkim wahaniu się—idzie za mną wzdłuż strumyka. Sitowiem idziemy aż pod armatę i, kryjąc się, dochodzimy do niej. Za armatą o 20 kroków leży moskał, przypuszczalnie ranny, bo, choć słońce zachodzące dogrzewało, był bez czapki. Temu na migi (w okop wali już drugi granat) daję do zrozumienia, żeby się przypadkowo nie mieszał nie do swojej sprawy, sam zaś próbuję wyjąć zamek, co mi, chociażem nie znał konstrukcyi, nakoniec się udaje. Antek rozbija (w tej chwili pada trzeci pocisk, ale już szrapnel) tak zwany Richtskreis, lecz odgłos uderzeń kolbą wywołuje natychmiast strzały leżącej o 30 kroków tyralierki rosyjskiej. Wyrrywamy z zamkiem w sitowie u stóp wzgórzka i w tej chwili nad tem miejscem, gdzieśmy stali, pęka szrapnel austriacki, zapewne wycelowany w scigających

nas moskali, którzy także biją do nas z armaty. Idziemy w pewnej odległości od siebie. Nagle poczynają do nas pukać z karabinów; któryś strzał trafia mnie w nogę, raniąc dotkliwie. Kulejąc, dobiegam do placówki, po drodze robiąc zajmujące eksperymenta z palcami, chcąc się przekonać, czy kości jeszcze całe. Od placówek niesie mnie na plecach Antek, a potem p. Krzyski“.

Takto młodociany bohater opisuje swą skuteczną wyprawę w sposób prosty i bezpretensjonalny. Cały ten list w ogólności, pisany w okopie wśród raz po raz padających—skrupulatnie w liście zaznaczanych—granatów i szrapneli, utrzymany w tonie swobodnym i wesołym, a tam, gdzie brakło mu słów, ilustrowany świetnym, kilku poaiggnięciami skreślonym rysunkiem—pozostanie pięknym dokumentem tej młodocianej rycerskiej duszy.

„Nie było rozkazu...”

Na pozycyi trzeciego baonu drugiego pułku pod Siłowiczami — cisza.

Ciepły wieczór wrześnieowy rozmarzył żołnierzy. Wolni od pracy nocnej powylegali ze wszelakich zakątków okopowych i co kto lubi... Jedni gier przeróżnych się imają, inni, wylegując się leniwie, gwarzą o „nieboszczyku cywili“, lub o czasie wojny, kpiąc i wyśmiewając najczarniejsze ze nieraz chwile swoich towarzyszy broni; inni jeszcze — melancholijnie włóczą się po zakamarkach okopów, marząc o urlopie, albo lekkiej ranie, co na jedno wychodzi.

Nagle wściekły, huraganowy ogień artyleryjski, skierowany przedewszystkiem na odcinek I baonu. „Sportowcy“ i smętni „marzyciele“ powoli, nie śpiesząc się — bo wojna to nie zajęcie — biorą karabiny i idą każdy na swe stanowisko tak, jak niegdyś — ten do orki, tamten do warsztatu, inny do szkoły.

Ulewa żelaza i piękna groza wybuchów granatów i szrapneli nie podnieca ich zbytnio. A w głowach snują się leniwie myśli: „Będzie atak, czy nie? Oberwać co można i kiedy?...“ Stojąc w okopie, wsłuchuje się każdy w furkot pocisków, lecących w powietrzu i rozdziela: ten temu baonowi, tamten — tej kompanii, a gdy czułe ucho orzeka, że ten pocisk „nam“ się patrzy — przyciska się trochę do ściany, zniża głowę i chytrze wyczekuje.

Lecz burza ognia rozszalała. Już wsłuchiwać się i zgadywać nie można. Jęk lecących pocisków, ogłuszające wybuchy, świst kul szrapnelowych, furkot odłamków granatów i błyskawice ognia, a tu i owdzie jęk rannych i charkot konających — składają się na groźną, piekielną chwilę! Stygła krew w żyłach żołnierza, lecz stał w ulewie żelaza i w tumanie wyrzucanej ziemi, wypatrując w błyskawicach rakiet i wybuchów pocisków szarej sylwetki wroga.

Zaskoczone ogniem placówki, po krótkiej chwili wycofały się, otrzymując zresztą odnośne rozkazy. Jedynie placówka 3 kompanii — pod dowództwem starsz. żołnierza Alojzego Motowskiego — pozostała.

Wysłani gońcy nie doszli. Na przedpolu istne piekło. Zaporowy ogień baterii własnych i wściekły ogień dział rosyjskich szalał w całej pełni. Lecz st. żołnierz Motowski z placówką trwał na posterunku. Obchodził wedety, krzepił ducha, wycofać się nie pozwolił. Obok silniejszy oddział rosyjski zaatakował nasze okopy. Placówka pozostała nadal, bijąc ze skrzydła nacierającego wroga.

Wreszcie około godz. 1-ej w nocy zapanowała cisza.

Motowskiego ściągnięto do okopów, a na pytanie dlaczego nie wycofał placówki — odpowiedział: „nie było rozkazu“.

K. Mach.

O żołnierzu „Żelaznej brygady“.

Jeszcze grzmiały działa po wszystkich prawie ziemiach świata, jeszcze pali się pożoga wojny, jakiej historia nie pamięta, a Tyś, rycerzu „Żelaznej brygady“, przestał już pisać księgę swoich dziejów... Nie Twoja to вина...

Przestałeś pisać, ale nie zamknąłeś jej.

Czytać i uczyć się będą z niej pokolenia całe, a w pierwszym rzędzie — losy pozwolą — pokolenie dzisiejsze... Z kart Twojej księgi, zapisanej najszlachetniejszą krwią serca wielkiego, uczyć się będzie żołnierz polski, jak feniks z własnych popiołów powstający.

Dalekiemi drogami chodziłeś żołnierzu... Gdzieżeś to nie był? Na coś to nie patrzył? Młodemi stopy przemierzyłeś gluche pustki Karpat... Wśród szczytów gór-

skich, w obliczu Boga nieznanego, rozpinając na Pantyr-Pasie krzyż, zaprzysiągłeś Polsce wierność nieśmiertelnym czterowerszem... I wierności dochowałeś. Potem zszedłeś — przez Bukowinę, wschodnią Galicyę — na pola besarabskie... Zamierzchły przeszłości wiew, płynący z mogił kresowych rycerzy — Twoich praojców — owionął Ci czoło — i może stąd żelazna dusza Twoja, o której dziś legenda mówi...

Jesienią 1915 r. — z piersią pełną wzruszenia wracałeś do swoich. Ach, do swoich... Na Wołyń... Spełniła się wówczas Twoja głucha tęsknota — śniona w czasie wędrówek dalekich — tęsknota za krajem, za pułkami bratnimi! A gdy nad Polską, którą ukochałeś nadewszystko, rozbłysła zorza nowego rzeczy porządku — zszedłeś na ciche pola mazowieckie, by — w odwieczny — wyżalić się ze swoich smutków, strapiień i męki serdecznej przed duszą brata, spokojnie krzątającego się około spraw codziennego życia. Spiewałeś mu piosenki, dziergając na kanwie śmiechu nić bolesnych ukochań... Niezrozumiany, rozumiałeś każde drgnienie serca polskiego...

I tu dopiero zaczyna się Twoja tragedia.

Nie czas i miejsce na wypominanie win i błędów... Trudno jednak nie wspomnieć — gdy składa się laur na Twoją głowę — o największym bólu i upokorzeniach, jakie spotkały Cię ze strony tych, co tylko kwiaty winni Ci rzucić pod nogi, a z marzeń i wysiłków Twojego serca uczynić talizman i jedyną broń przeciw twardej rzeczywistości... Łopot mnogich sztandarów pułkowych kołysał Ci — w rojeniach — duszę. Chciałeś zostać cor cordium armii polskiej. Tymczasem podano w wątpliwość czystość Twoich zamierzeń. Były wypadki, że obrzucano Cię wyzwiskami od cudzych najemników i „bratobójców“. A tak jeszcze niedawno z trybuny parlamentarnej — a więc z miejsca wielce odpowiedzialnego — padło pod Twoim adresem słowo: „zaprzaniec“.

Że byłeś najczulszą duszą Polski — nikt dziś nie wątpi. Każde też niepowodzenie, każdą zmianę na gorsze okupiłeś — przez nikogo niewidzianym smutkiem. Pamiętam Twoje ciche rozmowy... Pamiętam, jak w najgorszych sytuacjach — nie traciłeś ducha i broniłeś się przed niszczycielską robotą, szukając dróg i stromych choćby ścieżek, wiodących do Niepodległej Polski. Bo wiedziałeś, że najbardziej stroma ścieżka jest zawsze lepsza.. .od żadnej. A bezdroża Ci tylko zalecano.

Wreszcie przyszła chwila, w której zacząłeś zbierać owoce—nie przez Ciebie pielęgnowane, — chwila rozstania się z krajem. Odjeżdżając na nieznanych losów koleje, zagnałeś w odezwie—„Do Naszych Rodaków“—Warszawę i kraj — w przeczuciu przyszłych wydarzeń — bolesnymi akcentami, jak zagna najczulszy kochanek kochankę, co sama stała się przyczyną okrutnej rozłąki.

„Przyjdzie tu do Was wieść, iż pozostaliśmy, jak przedtem nieuleknieni, silni, po żołniersku uczciwi i mężni...”

No — i przyszła...

Na myśl o ostatecznym epilogu „Żelaznej brygady“ cisną się do oczu — mimowoli, a może wbrew żołnierskiej woli — łzy.

— A cóż to Ci się, żołnierzu, stało? Gdzieżeś jest? Kto śpiewa Twoje piosenki o „rozmarynie“, „ułanach“, co przybyli pod okienko, o „Kasi i Jaśku“.

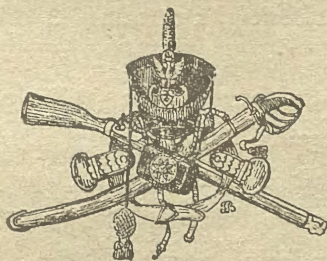
Gdzie błysk Twojego bagnetu?... Kędy to rozpląnął się Twój uśmiech i radość życia, na której dnie czała się zaduma o dziele wielkiem, o Państwie Polskiem?

Ach, żołnierzu, żołnierzu...

Lecz — w grobie i na drogach dalekiej tułaczki — bądź spokojny... Legenda o Tobie, legenda o żelaznej woli, wzniosłej duszy i bezwzględnem oddaniu się sprawie przejdzie w krew i kości Twojego narodu. Nastaną inne, lepsze czasy... Małeńkie dzieci, wsłuchując się — o zmierzchu godzinie — w dzieje Twego serca, płakać za Tobą będą...

I wezmą z Ciebie czar bohaterskiego życia!

Stanisław Skotnicki.



SPIS TREŚCI: W. T.: Karpacka brygada.—Józef Mączka: Starym szlakiem.—E. Maliszewski: Tereny walk drugiej brygady.—K. Wojnar: Artyleria drugiej brygady.—J. Maleszewski Jagrym: Cucylów.—Bitwa nocna pod Rafajłową.—J. A. Teslar: Legiony na Huculszczyźnie.—A. M.: Drugi pułk w walkach nad Styrem.—Rajmund Bergel: Piechur.—W. Tokarz: Przegląd polskiego korpusu posiłkowego.—Jan Dudziński.—Dr. E. Loth: Wujcio Majewski.—Czyny brawurowe żołnierzy II brygady.—K. Mach: „Nie było rozkazu“...—Stanisław Skotnicki: O żołnierzu „Żelaznej brygady“.

Przedruk artykułów dozwolony
za dokładnem podaniem źródła.

Redaktor Dr. WACŁAW TOKARZ.

„Wiarus“ Pismo dla żołnierzy polskich, wydawane przez Komisję Wojskową, wychodzi w Warszawie 3 razy miesięcznie: 1-go, 10-go i 20-go. Adres Redakcyi: Komisya Wojskowa, Królewska 35. Adres Administracyi: Księgarnia W. Jakowickiego, Bracka 23. Skrzynka pocztowa Nr 22.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową wynosi: miesięcznie 1.20 mk. (1.80 k.), kwartalnie 3 mk. (5 k.), rocznie 12 mk. (20 k.).

Dla wojskowych prenumerata (tylko przez administracyę) zniżona: miesięcznie 60 fen. (90 hal.), kwartalnie 1.50 mk. (2 50 k.), rocznie 6 mk. (10 k.).

Cena pojedynczego zeszytu: 40 fen. (60 hal.), dla wojskowych (tylko w administracyi:) 20 fen. (30 hal.).